№ 10. Warszawa, dnia 5 Marca (21 Lutego) 1881 r. Rok I

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi Królewska Nr. 4.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Upraszamy szan. abonentów naszych o wczesne nadsyłanie kwartalnej przedpłaty i tym sposobem oszczędzenie sobie przerw w odbiorze pisma a nam kłopotu i kosztu przedrukowywania jego wyczerpanych numerów. Skutkiem licznych opóźnień w kwartale bieżącym niektóre numera *Prawdy* musieliśmy drukować trzykrotnie. Ci z szan. abonentów, którzy z jakichkolwiek bądź powodów nie zdążą przesłać pieniędzy przed kwartałem a życzą sobie nadal otrzymywać *Prawdę*, zechcą uwiadomić nas listownie.

Bezpłatny dodatek do *Prawdy*: **Sprawa polska w literaturze rosyjskiej**—rozesłanym będzie przy ostatnim numerze kwartału bieżącego.

STOWARZYSZENIA STUDENCKIE.

Zamierzona i oddawna przygotowywana reforma ustawy uniwersyteckiej wprowadziła pod rozprawy ministeryum i prasy stowarzyszenia studenckie. Ze względu na naszą młodzież przedmiot ten posiada i dla nas bardzo ważne znaczenie, to też zastanowimy się nad nim szczegółowiej.

W żadnym kraju idea związków studenckich nie dojrzała bardziej i nie wydaje lepszych owoców, jak tam, gdzie ustrój uniwersytetów wzniósł się do najwyższej doskonałości — jak w Niemczech. Kto niemieckie *Vereiny* przedstawia sobie tylko ze strony rapirowych popisów i knajpowych pijatyk, ten wie tyle o nich, ile chłopek o armii, który sądzi, że żołnierz jest na to, ażeby mu ukradł kożuch ze strychu lub wykopał z ogrodu kartofle. Nie przeczymy, że widok studentów niemieckich z posiekanemi jak kotlety twarzami, zalewających się piwem i szczujących psami po ulicach sługi, nie jest obrazem wzniosłym i nie otacza związków studenckich żadną chwałą. Nie należy jednak mniemać, ażeby on był zależnym od tej instytucyi i ażeby wyczerpywał całe jej zadanie. To, co nas razi w niemieckich *Burschenschaftach* i *Landsmannschaftach*, razi nas w całej germańskiej rasie: jest to surowość obyczajów, upodobanie w militarnych rozrywkach i potrzeba nasiąkania piwem. Właściwości plemienia odbijają się w jego grupach, a ze szczególną siłą w tych, w których przyrodzone instynkta występują najgwałtowniej. Poważną wartość ma przysłowie, utrzymujące, że „młodość musi się wyszumieć." Chybi celu każdy prawodawca, który tego faktu nie uwzględni i zechce młode natury ująć w spokojną kolej starszych. Chociażby je skrępował żelaznymi więzami, one zawsze znajdą dla siebie jawnie lub skrycie sposobność do wyszumienia. Że jest to przechodnia potrzeba wieku, dowodem właśnie korporacye niemieckie. Ci sami ludzie, którzy lat kilka przepędzają na mensurach i w knajpach, jednego dnia porzucają próżniacze i hulaszcze życie, zabierają się do pracy i wychodzą z uniwersytetów jako najpoważniejsi obywatele kraju. Niejeden uczony, który, zdaje się jak mól wyrósł w książkach, ma w swej przeszłości długi okres „szumienia."

Niedość tego. Obok stowarzyszeń etnologicznych i politycznych, uprawiających głównie sztukę rapirową i hulanki, istnieją w Niemczech między studentami daleko liczniejsze związki naukowe lub artystyczne, zupełnie wolne od tej dziczyzny i stanowiące najlepsze postacie idei korporacyjnej. Celem ich jest wspólne kształcenie się w jakiejś umiejętności lub sztuce. Znajdujemy tu kółka filozoficzne, lekarskie, przyrodnicze, gimnastyczne, muzykalne itp. Członkowie ich nie mięszają się do życia politycznego, nie przeprowadzają przez swą organizacyę jego bieżących prądów, nie robią awantur i hałasów, lecz przygotowują się spokojnie do przyszłych zawodów. Te to korporacye dostarczają narodowi najdzielniejszych ludzi.

Ustawa uniwersytecka w Rosyi nie obdarzyła dotąd studentów prawem swobodnego stowarzyszania się; wyjątek w niej stanowi tylko Dorpat, którego niemiecka wszechnica posiada je w całej pełni. Jest to bardzo naturalnem, że takie uprzywilejowanie niemców dało uniwersytetom rosyjskim słuszny powód do skargi i usiłowań rozszerzenia przywileju na całe państwo. Bo i dla czego — pytano — narodowość obca ma korzystać z prawa, odmówionego miejscowej? Jeżeli korporacye niemieckie są pożyteczne, dla czego rosyjskie mają być szkodliwe? Pytania te, łącznie z całym prądem, dążącym do większego usamowolnienia studentów, znowu wysunęły na jaw sprawę stowarzyszeń. Kilka uniwersytetów nawet przesłało prośby do ministerium i zyskało podobno w zasadzie przychylne uznanie. Sądzimy, że ruch w tym kierunku nie ustanie bez skutków i dla tego dorzucamy do niego głos w interesie własnym.

Przypatrując się życiu naszych studentów niejednokrotnie uczuwaliśmy w niem ujemne skutki braku stowarzyszeń. Pozbawieni wszelkiej łączności, zmieszani w gromadę a rozdzieleni tysiącem różnic, przedstawiają oni obraz, jakiego w Europie znaleźć trudno. Całem dla nich ożywieniem jest odbieranie biletów lub wysługiwanie się na odczytach dobroczynnych i koncertach. Nie mówiąc już o żadnych związkach politycznych i narodowościowych, czy widzimy ich połączonych węzłami wspólnych studyów, zajęć i rozrywek? Czy widzimy, ażeby oni wzajemnie się wspierali, krzesali w sobie zapał i wzmacniali energię do nauki lub sztuki; ażeby

dzielili się myślami i uczuciami? Kursują codziennie od domu do auditorium i od auditorium do domu, znużeni, pognębieni, zniechęceni do obowiązku, nieraz i do tej ławki, która ich mechanicznie obok siebie sadza a ściślej nie łączy. Jest to gromada Robinsonów, zmuszonych stwarzać sobie samoistne życie. Żaden z nich nie ma nawet sposobności podzielić się z kolegami tem, co mu do głowy lub serca przybyło. Zasada stowarzyszenia tak dalece przenika obyczaje studentów niemieckich, że przed egzaminami łączą się oni po kilku, piszą sobie ustawy, określające ściśle czas pracy i rozrywki oraz stopnie kary za nieprzybycie, i co najważniejsza — karom tym poddają się jak najuleglej. Tym sposobem młodzież uczy się bardzo wcześnie samorządu i poszanowania dla samodzielnie nałożonego prawa. U nas są to stosunki zupełnie nieznane i nieuznane. Gdyby pedel dostrzegł trzech studentów, układających regulamin wspólnego uczenia się, niezawodnie doniósłby o tem z przerażoną miną inspektorowi, który poważnie zastanowiłby się nad niebezpieczeństwem tego faktu.

Jeżeli namiętnościom, wrzącym uczuciom, całemu wreszcie wylewowi młodości nie otworzymy ujścia w samem życiu studenckiem, będzie się on ciągle wyrywał na zewnątrz, często tam, gdziebyśmy go wcale widzieć nie pragnęli. Nic nie pomogą ani zakazy, ani morały. Młodzież, która nie śpiewa w swej korporacyi piosenek studenckich, śpiewa w teatrzykach piosenki sprośne.

Uniwersytet, nieposiadający stowarzyszeń, z konieczności jest uważany lub sam się uważa za jedno stowarzyszenie. Oba te wypadki są bardzo niepożądane. Często bowiem kilku lub kilkunastu studentów, przywłaszczając sobie pełnomocnictwo, występuje od całej instytucyi w sposób budzący niechęć śród innych jej żywiołów lub pewnych warstw społeczeństwa. Widzimy wtedy nie członków jakiejś jedynie za swe czyny odpowiedzialnej korporacyi, ale studentów uniwersytetu. Stąd walki, protesty i oskarżenia.

Każdy uniwersytet jest wielkim magazynem publicznym, w którym każdy, bez względu na swój charakter moralny, może nabywać wiedzę. Rzecz prosta, że w takiej różnorodnej mięszaninie pierwiastków, chociażby jednako umundorowanych, powstać muszą wyraźne rozdziały, niedopuszczające wytworzenia się ściślej solidarności. Koleżeństwo wspólnej ławki jest fikcyą tam, gdzie obok siebie zasiadają najrozmaitsze, często wrogie rasy, narody, wyznania, żywioły społeczne. Wyobraźmy sobie jakąś słynną wszechnicę niemiecką, w której obok krajowców kształcą się francuzi, anglicy, amerykanie, polacy, serbowie, rosyanie, izraelici, katolicy, protestanci — czy ci ludzie mogą mieć pokrewne przekonania, cele, honor? Tam też nie występuje zwykle nigdy solidarnie cały uniwersytet, ale jego korporacye, grupujące w sobie jednostki bratniego rodzaju. U nas w braku stowarzyszeń wytwarza się doraźnie polityka, cześć studencka i t. p. *generalia*, które niczego nie wyrażają a w ścieraniu się odmiennych prądów giną. *Gołos* bardzo słusznie powiedział: „dla nauki potrzeba spokoju, a spokoju nie będzie bez organizacyi studentów". Przekonała o tem świeża awantura w uniwersytecie petersburskim, przekonało i świeże zajście w naszym. Student zadenuncyonował kogoś; oburzyło to jego kolegów, którzy naprzód zerwali z nim stosunki a następnie zażądali od władzy wydalenia. W sprawie tej wystąpili *wszyscy* studenci, którzy taką zbiorową manifestacyą *całą* szkołę postawili na wulkanie. I dla czego wszyscy, dla czego całą? Dla tego, że nie było korporacyi, któraby naprzód zbyt gorliwego oskarzyciela powstrzymała od tego kroku lub nie powstrzymawszy, ukarała go sama, bez wciągania całego uniwersytetu w to marne zajście. Obowiązek zmycia plamy ciążyłby tylko na tem kółku, do któregoby winny należał, i nie dotyczyłby wcale innych, niepozostających z nim w żadnych stosunkach. Słowem, jedynym środkiem ubezpieczenia uniwersytetu od częstych i powszechnych w nim zamieszek jest rozerwanie kruchej, doraźnie lepionej solidarności ogólnej i rozbicie jej na pojedyńcze, korporacyjne.

Jak dalece potrzeba ta odzywa się silnie, świadczy drobny ale wymowny fakt, że niedalekim od uznania jej jest nawet p. Katkow.

SZLACHTA POLSKA.

Opracowań dziejów szlachty w literaturze naszej nie brak — są niemi wszystkie historye polski; brak jednakże portretów. Czując to p. Smoleński, postanowił ją odfotografować w kilku światłach. A naprzód *w świetle własnych opinij* [1]). Jest to obrazek w formacie niewielkim, bo zawiera ledwie 25 stronic druku. Autor kreśli w nim naprzód rodowód szlachectwa polskiego (naturalnie wedle własnych jego mniemań). Jak daleko korzenie sięgały, nikt dokładnie rozstrzygnąć nie umiał, choć i o Noego zaczepiano; widziano tylko „drzewo cedrowe, które osobliwszą woń i zieloność z siebie wydawa," z dumą spoglądając na karłowate krzewy innych stanów. W tym cedrze musiała płynąć krew czysta, ani obcą domieszką, ani podłem zajęciem niepokalana. Szlachcic z urodzenia był słońcem, winien też jak ono czynami świecić, promieniami cnót rozpraszać chmury, które sławę jego ćmiły. Był on piersiami i sercem w tem ciele, w którem głową król a nogami — kmiotkowie, rzemieślnicy i kupcy. Oczarowany też takim widokiem Orzechowski wołał: szczęśliwa przeto jest Polska, że na stanie szlacheckim jako na słupie stanęła, a owym, którzy grosz groszem gonią, łokciem mierzą, kwartą szynkują, rzemiosła robią albo pługiem są zniewoleni u drugich — takie miejsca zostawiła w Królestwie, jakie w domu u gospodarza miewają słudzy. W duchu tej logiki postąpił statut warteński, który proceder miejski zrównał z łotrowstwem. Prawa z r. 1633 oddających się rzemiosłom i handlowi pozbawiało szlachectwa wraz z dziećmi a konstytucya z r. 1633 klątwę tę wzmocniła. Jeśli ów klejnot tak był drogim, to i wiel-

[1]) Odbitka z *Ateneum*, Warszawa 1880.

Postne kazanie o zazdrości.

L. Börnego.

Szkarlatyna zapełnia w *Encyklopedyi* przeszło sześć stronic, a zazdrość zaledwie pół strony. Dziwny stosunek. Słabość, która tylko dotyka zewnętrznej strony ludzkiego życia, znajduje pomoc lekarską, staranną opiekę, prędko znika, lub łagodnie zabija dzieci, jeśli natura jest nieprzejednaną. Tymczasem zazdrość, która szerzy się po wszystkich wielkich obszarach życia mężczyzny i kobiety, ich wnętrze targa, rozdziera, zatruwa, prześladuje srodze a przerażone uczucia wypędza z najcieniejszej i najtajniejszej kryjówki uczucia, nadaremnie szuka pociechy i pomocy — znajduje tylko szyderstwo i pogardę; nie zna ani spokojnej śmierci, ani wyzdrowienia. Prometeusz za to, że skradł ogień z nieba i tchnął go w wilgotnego człowieka, został przykuty do skały, gdzie sęp gryzł mu serce, lecz nie rozgryzł. Miłość jest tym płomieniem, którego bogowie ludziom użyczyć nie chcą, a zazdrość żarłocznym sępem, mszczącym się surowo za kradzież.

Zazdrość mężczyzny inną jest, niż zazdrość kobiety. Mają one wspólne źródło, lecz ich bieg i — ażeby obraz ten był pełniejszym — brzegi, które omywają, są tak nieskończenie różne, jak ich ujście, jeśli go dosięgają, nie zgubiwszy się w głębiach. Mężczyzna nie pała nienawiścią do swego współzawodnika, kobieta gardzi rywalką. Zadrość mężczyzny jest burzliwem morzem, które wszystko zatapia, wszystko, co w nim jest silne, zrywa i pochłania, które wszystkie jego głębie zalewa, wszystkie strumienia uczucia ogarnia i duszę niszczy. Zazdrość kobiety — to wązki, wartki, podstępny potok, kryjący swą głębię, nad którym ciche brzegi sterczą tem wyżej i ostrzej. Podnieca ona jej czucia i wzmacnia duszę. Zazdrosny mężczyzna jest gniewnym lwem; jest on wspaniałomyślny, tylko głód zmusza go do rozdzierania łupu. Zazdrosna kobieta jest rozzłoszczoną żmiją; jest ona próżna i tylko pożądliwość pobudza ją do kąsania. Oburzenie zazdrosnego mężczyzny zwraca się ku przedmiotowi miłości i przerywa ją; oburzenie zazdrośnej kobiety zwraca się do rywalki i potęguje miłość. Zazdrość czyni mężczyznę głupim, śmiesznym, pozbawia go miłości i szacunku kobiety; kobietę zaś czyni rozsądniejszą, sympatyczniejszą i podnieca uczucie mężczyzny. Zazdrość jest strasznem, krwawem narzędziem, którego kobieta lekkomyślnie używa dla nasycenia swej próżności; często obraża ona nawet kochanego mężczyznę, ażeby rozkoszować się jego bólem. Mężczyzna gardzi tym okrutnym środkiem, choć używając go, rzadko chybiłby celu: obudziłby drzemiącą miłość kobiety, zmusiłby do wyznań utajoną lub stworzył nieistniejącą.

Radość jest prostą, gdyż zapełnia sobą całego człowieka. Każda bowiem rozkosz, bez względu na to, przez jaki zmysł lub przez jaką stronę życia wchodzi, jest tylko surowym materyałem, który przy wejściu składa małą opłatę, a potem dalej się posuwa, aż wreszcie w ludzkiem sercu, tym wielkim warsztacie, zostaje przygotowany podług stałych i niezmiennych reguł. Wszystkie rozkosze, niezależnie od różnicy swych części składowych, gdy przejdą

ką musiała być kara za skradzenie go. Prawo z XVI stulecia zabójcę mniemanego szlachcica uwalniało od wszelkiej odpowiedzialności. Przyszedł jednak czas, który w tym murze zaczął pomału robić szczerby. Czego nie pokonały wymowne słowa, to zwyciężyła nieubłagana konieczność życia. Stosunki ekonomiczne wydobyły prąd nowy. Gdy filozofia głosiła, że „między cnotą a groszem wielki swar jest i wielka niezgoda,“ szlachcic przekuwał — wedle Kochanowskiegó — granaty ojcowskie na pługi i rożny, w przyłbicach owies mierzył lub hodował w nich kwoczki. Teoretyczna opozycya przeciwko wyobrażeniom objawiała się bardzo słabo. Z poważnych zapaśników jeden tylko Modrzewski występował do walki, żądając, ażeby „głowami kmiecemi, jak kostkami, grać nie chcieli.“ Nie taili jednak nadużyć i inni pisarze. „W Polsce — wołał Orzechowski — świnie są droższe niż ludzie. Szemrzą na nas mieszczanie i chłopi, bo się z nimi jak z niewolniki pogany obchodzim... praw innym stanom nie dzierżym, a na swój młyn wszystką wodę wiedziemy.“

Wiek XVIII dopiero — według p. Smoleńskiego — szlachecką budową wstrząsnął do gruntu. W *świetle* też jego *opinij* (*Ateneum*, styczeń 1881), autor przedstawia szlachtę polską. Pierwszy dowód rozkładu starych pojęć widzi w tak zwanej suplice tarczyńskiej (1767), której autorowie poddaństwo mianują gwałtem, oprócz własności gruntów i osobistej swobody żądają przyznania sobie praw politycznych i przypuszczenia do obrad; pod hasłem: „mizerya i łzy“ występują z zasadą równości w obliczu prawa i ludowego wszechwładztwa. Konstytucye z r. 1768 i 1775 pod naciskiem rozwoju pojęć i stosunków ekonomicznych poczyniły pewne ustępstwa praktyczne na korzyść żywiołów upośledzonych. Wcieleniem tej zmiany był *Pan Podstoli* Krasickiego, który nie zszedłszy zupełnie z dawnego gruntu, zbudował na nim nową budowę społeczną i osadził w niej znacznie zdemokratyzowanego szlachcica. W dalszym ciągu przeszczepiona do Polski teorya Locke'a i szkoła prawa natury nadwyrężyły znowu socyologię szlachecką. Do zburzenia tej Bastylli, prócz Naruszewicza, rzucili się trzej najgłówniejsi rewolucyoniści: Staszyc, Kołłątaj i Jezierski. Według nich, szlachta była gwałcicielem, oszustem, spiskowcem; wydarła bowiem prawo większości i na swoją tylko obróciła je korzyść. W kupie ksiąg potężnych zaledwie jedno lub dwa przyjazne narodowi zawarła prawa; wszystko zresztą przywilejami zapełniła dla siebie. Panowała absolutnie i despotycznie. Uważała się za naród, chociaż z dziećmi i kobietami liczyła zaledwie 100,000 osób. Samych mieszczan było czterykroć więcej. I cóż to za naród — wołał Kołłątaj — w którym 100,000 rodzin narachować nie można? Dla dopełnienia miary zaprzeczono nawet szlachcie polskiego pochodzenia. Wichry rewolucyi francuskiej rozdmuchiwały zdala ten pożar, z którego płomieni dobywał się mściwy okrzyk: „co było na górze, będzie na dole, a co było na dole, będzie na górze.“ Okrzykowi temu wtórował zgodnie z nim nastrojony chór skarg chłopskich i mieszczańskich. Wśród takiego wrzenia rozpoczął swe prace sejm czteroletni. Przyjęli w nim udział ludzie nowem tchnieniem owiani, ale roztropność—jak byśmy dziś powiedzieli— oportunizm skłonił ich do ustępstw na korzyść szlachty, do praktycznego umiarkowania zasad. „Przezorność ze względami historyczno-lokalnemi kazała redaktorom ustawy 3-go maja liczyć się pilnie i ztąd to przepaść pomiędzy ich myślą a czynem. Demokraci z zasady — konserwują organizacyę stanową; nieprzyjaciele rodowości mieszczaństwo, by je do życia publicznego wprowadzić, przepuszczają przez alembik szlachectwa. W każdym niemal rozdziale konstytucyi 3 maja czuć dreszcze postępu przed grozą starej socyologii, która istotnie w masach szlacheckich kwitnęła tak żywo, jak przed wiekiem lub dwoma. Na zasadę przyrodzonej równości odpowiadali szlachcice, że garncarz „z gliny i proste naczynia i polewane, także farfury najprzedniejsze robi i to nie do jednego użytku.“ Ustawa majowa, pomimo przezorności jej twórców, do niechęci powodów dawała dużo; gdy więc magnaci zatknęli targowicki sztandar wywrotu a za hasło wzięli szlachecką wolność i równość — wysunęli się i farfurowi rycerze gotowi szablą swoją żądania ich poprzeć. I wywalczyła ta spółka konstytucyę ostatniego sejmu rzeczypospolitej — konstytucyę, która szlachtę tylko uznała za zdolną do godności, honorów i urzędów tak duchownych jak świeckich. Groźba kołłątajowskiej o Samsonie powieści spełniła się strasznie. Stary ślepiec budowę *nową* wywrócił, a ciężarowi walącego się gmachu *starego* sprostać już nie mógł. Gruzami przywalił naród i sam pod nimi grób znalazł.“

Na widoku tej ruiny kończy p. Smoleński swą drugą historyczną opowieść. Obie rozprawki są bardzo ogólnymi szkicami, ale szkicami, uwydatniającymi doskonale główne punkta obrazu. Jest on skreślonym energicznie i barwiście. Autor, uderzający zawsze bardzo silnie w struny dziejów, wydobywa z życia szlachty wstrząsające akordy. Jakież *vanitas vanitatum* rozlega się w duszy naszej, gdy z dnia dzisiejszego, w świetle obecnych opinii oglądamy ziemskich bogów XVI i XVII stulecia, odurzonych znikomą wielkością w swych szlacheckim Olimpie! Jakże budowa społeczna w ciągu ostatnich kilku wieków popękała, rozpadła się i przekształciła! Coby powiedzieli zmartwychwstawszy — już nie ciemni herbowicze, ale Orzechowscy i Reje, gdyby zajrzeli do serc naszych! Niezmordowany czas rozpala ciągle w ogniu stosunków społecznych stare żelazo szlacheckie i przekuwa je na nowe narzędzia życia, chociaż uderzeń jego młota prawie nie słyszymy.

A. S.

OSIEMDZIESIĘCIO-LETNIA ROCZNICA URODZIN WIKTORA HUGO.

Paryż, d. 27 lutego 1881.

Wiersze poetów, kwiaty dzieci, łzy kobiet, okrzyki mężczyzn, dźwięki miedzi, głuchy jęk bruku pod nogami stąpających, szelest chorągwi i flag powiewających nad

---

przez serce, zamieniają się w krew. Dlatego też radość jest tak prostą i niezmienną, dlatego pożądanie jest wielkim warunkiem naszego szczęścia, gdyż dla odświeżenia wrażliwości serca, trzeba nasycone wygłodzić. Lecz ból jest wielorakim, bo serce rozkładające się odpycha go; nie wolno mu opuścić członków, które trapi; w każdym z nich oddzielnie czuć on się daje. Istnieje jednak ból, który z radością ma tę straszną wspólną cechę, że napełnia całego człowieka i zamienia się w krew życia; mianowicie — zazdrość. Jeśli muzyka jest nadziemską rozkoszą, a człowiek, który ją słyszy, odczuwa uciechy wszystkich światów, to zazdrość jest nieludzkim bólem a pierś, którą napełnia, czuje cierpienia wszystkich tworów. Pogardzona miłość jest śmiercią. Zazdrość jest straszliwszą; jest ona obawą śmierci.

Kobiety nie umieją cenić miłości mężczyzn. Ponieważ dla niej poświęcają wszystko, co posiadają, zdaje im się, że spłaciły całkowity dług. Łudzą się wiecznie, że miłość ich jest większa; sądzą bowiem, że dają wtedy, gdy biorą. Kobieta żyje wówczas tylko, gdy kocha, a odnajduje się, gdy ginie w mężczyznie. Serce kobiety rodzi się pustem, — nic w niem nie potrzebuje ustępować miejsca obrazowi ukochanego mężczyzny. Dusza mężczyzny jest pełna i zaludniona; musi on z niej cały świat usunąć, dla pomieszczenia przedmiotu swej miłości. Ofiaruje kobiecie wszystkie swe uczucia, plany i nadzieje. Uczucia jego —to potok, a myśli —to łodzie, na których ukochanej sprowadza wszelką radość i siły życia. W jedne ręce powierzył całe swoje mienie, a gdy jego miłość będzie wzgardzona lub zdradzona, pozostanie bez dachu i chleba, ogołocony ze wszystkiego. Gdzie się nieszczęśliwy obróci? Czy ból swój ma utopić w wirze namiętności; groźne fale uniosą go znowu i wyrzucą na brzeg. Czy ma szukać rozrywki w pracy ducha? Lecz i ducha poświęcił ukochanej. Nie może się ogłuszyć, bo nie słyszy, nie może się oślepić, bo oczy jego są zawarte.

Dla kochającego młodzieńca cała ludzkość jest rzeczą. Świat jest dla niego martwym i wyludnionym, jego tętna nie biją, gdy serce ukochanej dla niego bić przestaje.

Każdy ból duszy ma swoje gorące łzy, które roztapiają niejeden sopel uczucia; nie ma ich tylko zazdrość, a suche, zwęglone oko ukazuje spieczone wnętrze wygasłego krateru. Każda boleść ma swój sen, który ją ukołysze w zapomnieniu; tylko zazdrosny czuwa ciągle i żaden rozkoszny sen nie wraca mu tego, co stracił na jawie.

Jeśli najlżejsza słabość cielesna znajduje lekarza, a nawet zły humor swego pocieszyciela, czemuż najstraszliwsze z cierpień nie doznaje pomocy i ulgi? Czemu zazdrosny nie znajduje lekarstwa ani współczucia? Bo jego bliskość jest groźną i szkodliwą; gdzie on przebywa, węże kryją się pod różami towarzyskiej przyjemności. Kochający mężczyzna wsparł cały swój byt na sercu kobiety; gdy ta podstawa zachwieje się i złamie pod nim, spada on w próżnię, a im jest znaczniejszym, im więcej posiada cnót, tem spada straszliwiej i niebezpieczniej dla tych, których na drodze spotyka. Ludzie też unikają go jak niszczącej bomby. Każdą inną słabość, każdy występek wybaczamy mężczyznie, gdyż psuje jedną tylko część jego istoty, a przyjaźń lub szacunek w innych zdrowych częściach wynagradza chorą. Kto jednak dotknięty chorobą zazdrości, tego natura jest na wskróś zgangrenowana; jak zły dłużnik

głowami tłumu, pobożne skupienie ducha przerywane odgłosami radości, dwakroć według jednych a według drugich pięćkroć stotysięcy serc bijących jednakowem uderzeniem pod oknem, z którego widniała biała głowa poety, taką była dzisiejsza uroczystość Paryża, który w dniu 27-go lutego przyszedł skłonić czoło przed geniuszem i patryotyzmem, przed poezyą i dobrocią, przed sercem i głową jednego z największych ludzi dziewiętnastego wieku. Była to apoteoza wcielonej myśli i uosobionego uczucia, a pokora człowieka, który na nią ze wszech miar zasłużył. Odrzućmy bowiem na chwilę surowość ścisłej i dokładnej krytyki, któraby z konieczności wykazała nam olbrzymie braki i niedostatki w szerokiej i różnorodnej działalności Wiktora Hugo, a zobaczymy odrazu, że jest to człowiek wybiegający o całą głowę nad tłum nie tylko tych, którzy przyszli na *avenue d' Eylau* schylić swe czoło w charakterze wielbiących go choć ciemnych, ale także i tych, którzy tam nie poszli w charakterze odsądzających go od wielkości, choć oświeconych.

Niebyt błędów nie stanowi jeszcze doskonałości dzieła, tak samo jak niebyt cierpień nie stanowi szczęścia. I w dziełach też Wiktora Hugo na każdym kroku natknąć się trzeba na braki i ułomności, tak jak w jego życiu — na długie chwile niepowodzeń i cierpień; nie przeszkadza mu to jednak być genialnym w swej twórczej działalności, a szczęśliwym w życiu. Oprócz Homera bowiem i Shakespeare'a żadne może imię nie było tak często na ustach całej cywilizowanej ludzkości, jak Wiktora Hugo, a oprócz niego żaden inny poeta nie doczekał się tej nieśmiertelności bogów za życia, tego faktycznego wywyższenia nad tłum, tego uwielbienia całego niemal narodu, tego poddania się umysłów, które mimowolnie nachyliły się w stronę, może niejednakowo równo, ale chwilami oślepiająco błyszczącej gwiazdy francuskiej literatury, — tego powszechnego ubóstwienia, które pochłonęło w sobie pojedyńcze razy zastrzeżeń i podkreślań na zimno rozumującej krytyki. Nie król to w nagrodę osobistych zasług wyniósł go na pierwszego ministra, nie roznamiętniona to tłuszcza oddała mu dyktaturę nad swoim losem i życiem, ale cały naród przez swych wybranych wręczył mu laurowy wieniec uznania i postawił go na ołtarzu geniuszów, co w dzisiejszych czasach uwielbienia dla materyalnej i tylko materyalnej siły jest faktem niesłychanej doniosłości. Jakkolwiek bowiem wielkim byłby geniusz Wiktora Hugo i czar jego literackich utworów dla mas, masy w osiemdziesiątą rocznicę jego urodzenia przyszły skłonić się nie tyle przed geniuszem i czarem liryzmu, ile przed użytkiem, jaki on robi ze swego słowa i całego życia.

„Potomność—pisze Ludwik Blanc— nie powiedziałaby o Wiktorze Hugo wszystkiego, mówiąc, że był niezrównanym poetą; że w świecie literackim wspiął się na najwyższe wyżyny; że we wszystkich rodzajach: powieści, dramacie, poezyi lirycznej, poezyi lekkiej, wymowie, zrobił sobie miejsce, które wiecznie zostanie jego własnem; że odnowił język, oswobadzając go od fałszywej arystokracyi słów; że zbudował nową sztukę i otworzył literatom swojego czasu drogę, po której najwięcej obdarowani uważają sobie za honor iść za nim; że nigdy pisarz nie miał oryginalności bardziej potężnej, nie był groźniejszym i słodszym, nie mówił do dzieci z czułością bardziej wzruszającą i nie posługiwał się pewniej biczem satyry, nie widział natury w obrazach kolosalniejszych i nie malował jej w żywszych barwach, nie zaszedł dalej w głębie ludzkiej duszy i przez zetknięcie okrutnego z wdzięcznem, wzniosłego ze śmiesznem—nie wydostał kontrastów z większą wydatnością. Nie, gdyby to wszystko było powiedziane, zostałoby się do opowiedzenia to, co on zrobił, i to nie będzie najmniejszy tytuł do uwielbiania go przez potomność.“

I to prawda, prawda tak widoczna, że przepowiednia wielkiego myśliciela Francyi już dziś się spełniła. Ta potomność Wiktora Hugo, o której mówi Ludwik Blanc, przyszła złożyć hołd nie przed zaletami stylu ani poetycznemi obrazami twórcy *Hernani*'ego lub *Kar*, lecz przed człowiekiem, przed uosobioną cnotą, przed wcielonem poczuciem sprawiedliwości. „Jest że w istocie — mówi dalej Ludwik Blanc— jedna szlachetna myśl, którejby on nie podjął, jedna słuszna sprawa, z którąby się niezespolił, jedna wielka niesprawiedliwość, której by się nie starał zapobiedz, jeden czyn okrucieństwa, przeciwko któremu by on nie podniósł głowy, jeden uciśniony naród, którego by nie bronił?...“ Pomijając bowiem mistycyzm, w którym pływa jego filozoficzna, religijna lub etyczna myśl, myśl ta zawsze staje po stronie nieszczęśliwych, oddaje się na usługi dobrej, szlachetnej i uczciwej sprawy.

Przebieżmy choć w krótkości jego czynną działalność jako człowieka. Na Guernesey jakiś nędznik został skazany na śmierć: Wiktor Hugo pisze w obronie skazanego słowa, które poruszyły do głębi całą Europę i podkopały barbarzyńskie prawo możności zabijania człowieka przez człowieka.

Na Jersey, miejscu swego wygnania za czasów drugiego cesarstwa, rząd angielski wydał rozkaz wydalenia z wyspy trzech republikanów. Wiktor Hugo, oburzony krzywdą wygnańców, każe się wydalić wraz z nimi.

Kiedy Ameryka skazała na śmierć Johna Brown za usiłowanie oswobodzenia niewolników z Wirginii, Wiktor Hugo za pośrednictwem wszystkich dzienników europejskich rzucił Ameryce te wielkie słowa: „Coś bardziej strasznego niż Kain zabijający Abla, to Washington zabijający Spartakusa!“ Kilkoma wierszami z dziewięciu skazanych na śmierć w Charleroi ocalił siedmiu, i stał się obrońcą z urzędu wszystkiego co biedne, słabe, nieszczęśliwe i uciśnione, bądź to w jednostkach, bądź w masach, bądź przez jednostki, bądź przez masy. Nieszczęście ma dla niego jakiś nieprzezwyciężony pociąg, a słabość moralna czy fizyczna, porusza go do głębi jego duszy. W złem widzi on jedną stronę i kto wie, czy nie najważniejszą —odpowiedzialność społeczną:

— „Winowajcy byli dla mnie tylko świadkami.“

---

nie może on zaspokoić najmniejszej cząstki słusznych żądań świata. Jak może wymagać życzliwego pobłażania, gdy nie kocha nikogo, bo całą sumę swego serca oddał jednej istocie? Dusza jego jest wodną pustynią; daremnie miłosierdzie wysyła swego gołąbka — nie wraca on z listkiem oliwnym, świadczącym, że znalazł coś stałego, żywego.

Zazdrość jest jedyną boleścią straconą, jedynem w całej naturze bólem, po którym nie następuje poród. Choroby wzmacniają ciało, ubóstwo prowadzi do czynu i bogactwa, głupota uczy rozsądku, burza zapładnia, klęski od piorunu opłacają się dobrze, u stóp ognistych wulkanów bujne zielenią się pola. A jeśli są nieszczęścia, którym nic dobrego nie towarzyszy, to przynajmniej pamięć przebytej niedoli jest zawsze siostrą radości. Lecz zazdrość —to obłoki bez nieba, za niemi kryje się straszliwe nic. Nie wzmacnia sił, nie uczy rozsądku, nie poprawia, nie oczyszcza, nie zyskuje miłości obcych, nie uwalnia od własnej, a jeśli się kończy, to kończy się wraz z miłością i serce osiąga tylko spokój grobu. A jakżeż smutnem jest wspomnienie tej męczarni! Cierpiący jest jak rozbitek na piaszczystym brzegu morza; życie uratował, ale statek, na którym było całe jego mienie, pochłonęły fale. Jak nagi żebrak włóczy się po świecie.

Dlaczegoż łagodna i uczciwa kobieta, która ten straszny ból wywołuje, jest tak na niego nieczuła? Kobieta stanowi windokrąg ludzkości, w którym się niebo styka z ziemią. Anioły i dyabły godzą się w niej, jak nigdzie. Najczulsza, najszlachetniejsza otrzymała z piekła jeden co najmniej kocioł węgli, a nie ma takiej, któraby w swem sercu nie posiadała małego kącika raju. Niedaleko od jej najwyższej godności znajduje się najniższa podłość.

Przypatrzcie się królowej na złotym tronie, ma ona pod nogami stołeczek z nędznego drzewa. Trzeba ją nienawidzieć, ażeby nie kochać, gardzić, żeby nie ubóstwiać, panować nad nią, żeby się nie stać niewolnikiem. Miłość jest dla niej wędką, która ją żywi i bawi. Wielkie ryby zabija, z małemi igra. Niema nic śmieszniejszego, jak zakochany mężczyzna; złota rybka w kloszu z wodą jest jeszcze stosunkowo wzniosłym widokiem. Bezustannem dążeniem kobiet jest budzenie miłości. Chciałyby one, aby księżyc miał serce i niemi je zapełnił. Ale na podobieństwo bohaterów, szukają tylko walki a gardzą zdobyczą. Nie to serce szanują, które się im oddaje, lecz oporne. Dlatego też zazdrosny nie może liczyć na współczucie; on już załatwiony. Obojętny zajmuje wszystkie ich zmysły, siły i życzenia; nie mają łez dla ran, które zadały, ale całują ręce, które je zraniły. Podlewają i hodują drzewa do jesieni, a zazdrość jest przejrzałym owocem miłości. Pozbawione liści serce zostaje porąbane, a piękne ogrodniczki ogrzewają w zimie tem drzewem swe pokoje. Jeśli chcecie zdobyć ich miłość, ukrywajcie swoją; jeśli chcecie zabezpieczyć się przed zazdrością, wywołujcie ją. Postępujcie jak podróżni w gorącej Afryce. Gdy spotykają drapieżne zwierzęta, padają na ziemię i wstrzymują bicie serca; tygrysy nadchodzą, liżą pozornych trupów i nic im nie zrobiwszy, idą dalej. Kochający młodzieńcy! wstrzymujcie bicie serca—kobiety będą was całowały i nie rozedrą.

Dla ukaranych i sponiewieranych żąda rehabilitacyi, wołając:

—...„Zrehabilitowałem

„Wszystkich ludzkich skazańców, Triboulet'a, Marion,

„Lokaja, złoczyńcę i prostytutkę...“

Kobietę ze sługi, z narzędzia powolnego mężczyźnie, starał się podnieść do godności towarzyszki, spólniczki jego uczuć, miłości i swobód. Z upadłych zrobił ofiary, z pohańbionych — nieszczęśliwe.

Los dzieci, tych niewinnych istot pokutujących za grzechy rodziców, a więcej jeszcze pokrzywdzonych przez towarzyski konwenans i kodeks, był zawsze najdroższym jego sercu.

Słowem, obrona nieszczęścia i żądanie sprawiedliwości, stały się jego obowiązkiem, któremu on nigdy i nigdzie nie skrewił, tak dobrze w czynie jak i w słowie, w chwilach swego własnego nieszczęścia jak i u szczytu dzisiejszej chwały.

Takiemu to człowiekowi Francya złożyła hołd w dniu jego osiemdziesiątletniej rocznicy urodzin. Niech będzie mu cześć i sława, na jakie prawem, nieskazitelnem życiem, szerokim umysłem i wielkiem sercem sobie zasłużył!

Antoni Sygietyński.

MYŚLI HUXLEYA

o znaczeniu języków starożytnych i nauk przyrodniczych w wychowaniu i cywilizacyi [1]).

Szkoła, oparta na naukach przyrodniczych, ma nadzwyczajne znaczenie dla społeczeństwa XIX wieku. Przybliża ona stanowcze rozstrzygnięcie walki o wychowanie. Walka ta trwa od bardzo dawna i nie ustała dotychczas. W przeszłem stuleciu ścierali się z sobą zwolennicy literatur: starożytnej i nowoczesnej; od lat dopiero trzydziestu wystąpiła na pole niewielka drużyna, stojąca pod sztandarem nauk przyrodniczych.

Z chwilą wystąpienia pierwszej wzmianki o wprowadzeniu nauk przyrodniczych w zakres zwyczajnego wychowania, wyznawcy tej reformy spotkali się z dwojaką opozycyą: z jednej strony poczęli im urągać „fachowi specyaliści,“ którzy dumnie uznają się za przedstawicieli „praktycznego kierunku;“ z drugiej rzucili na nich klątwę uczeni klasycy, uważający się za lewitów, postawionych na straży skarbca cywilizacyi i za monopolistów wychowania literackiego. Pierwsi należą już do przeszłości a czyste typy tego rodzaju prawie już całkiem wyginęły; drudzy niezawodnie ulegną także.

Zazwyczaj utrzymywano i utrzymują jeszcze, że nauka o przyrodzie niezdolna jest wytworzyć cywilizacyi, że nie dotyka ona „wyższych celów życia,“ a głównie, że ciągłe zajmowanie się badaniem nauk przyrodniczych wytwarza ciasne i jednostronne przekonanie o zastosowalności tej metody do wyśledzenia prawd wszelkiego rodzaju. Mamże rozprawiać się tu z tego rodzaju opozycyą? Raczej poświęcę słów kilka kwestyi, którą i dziś postawić nam tu mogą: że wykluczenie z nowootworzonego zakładu wychowania czysto literackiego służy za dowód ograniczoności naukowego poglądu. Nie znam przyczyn, które skłoniły założyciela zakładu do takiego zastrzeżenia; jeśli wszelako pod wyrazem „wychowanie czysto literackie“ rozumieć będziemy zwykłe kursa klasyczne angielskich szkół i uniwersytetów, to niepodobna nie uznać zasadności ich wykluczenia.

Trzymam się niewzruszenie tych dwóch przekonań: pierwsze, że wychowanie klasyczne ani ze względu na podniecaną przez nie działalność umysłową, ani ze względu na przedmiot zajęcia nie posiada takiej bezpośredniej wartości dla studyującego nauki przyrodnicze, któraby wynagradzała stratę czasu; drugie, że wychowanie oparte wyłącznie na naukach przyrodniczych, jest co najmniej równie pewnym środkiem osiągnięcia prawdziwej cywilizacyi, jak i wychowanie wyłącznie literackie. Zaledwie potrzebuję nadmienić, iż pogląd ten, zwłaszcza druga część jego, jest wprost przeciwny przekonaniu większej części wykształconych ludzi, zostających pod wpływem tradycyj szkolnych.

Wedle określenia Arnolda „cywilizacya jestto poznanie wszystkiego dobrego, co było pomyślane i wypowiedziane w świecie;“ jestto zawarta w literaturze krytyka życia. Krytyka ta uznaje Europę — pod względem umysłowym i duchowym — za wielką konfederacyę, połączoną dla wspólnej działalności i pracującą dla wspólnego celu; wszyscy członkowie tej konfederacyi są jednakowo przygotowani: znają starożytność grecką, rzymską i wschodnią i znają siebie nawzajem. Nie biorąc na uwagę specyalnych właściwości miejscowych i czasowych, ten naród wyprzedza inne w rozwoju umysłowym i duchowym, który lepiej od innych czyni zadość wskazanemu programowi. Znaczy to, że i każda jednostka tem dalej posuwa się naprzód, im lepiej program ten wypełnia!

Mamy więc tu dwa rozliczne twierdzenia: wedle pierwszego krytyka życia stanowi istotę cywilizacyi; wedle drugiego literatura daje materyały dostateczne do wytworzenia takiej krytyki.

Nikt, sądzę, nie powstanie przeciw pierwszemu twierdzeniu; cywilizacya jest niezaprzeczenie rzeczą odrębną od uczoności i technicznego wydoskonalenia. Ona dać powinna pełną teoryę życia. Z tem wszystkiem zgodzić się trzeba, lecz zarazem stanowczo się sprzeciwić twierdzeniu, że w samej tylko literaturze zaczerpnąć można tyle poznania. Z tego, żeśmy się nauczyli wszystkiego, co myślała i co wypowiedziała starożytność grecka, rzymska i wschodnia, co nam opowiadają literatury późniejsze, nie wypływa bynajmniej, żeśmy tem samem położyli już dostateczną podwalinę do urobienia sobie krytyki życia t. j. podwalinę cywilizacyi.

Badając postęp nawet tylko w sferze umysłowego i duchowego rozwoju, nie mogę żadną miarą przyznać, aby narody lub jednostki mogły postępować naprzód, jeśli nie przyswoiły sobie znajomości nauk przyrodniczych.

Wybitnem znamieniem naszego czasu jest nieustający wzrost znaczenia przyrodoznawstwa. Nietylko odciska ono piętno swoje na stosunkach codziennych, ale od niego zawisł dobrobyt milionów ludzi, a cała nasza teorya życia poddała się, świadomie lub nieświadomie, pod wpływ ogólnych pojęć o wszechświecie, jakich nam dostarczyły nauki przyrodnicze. Nawet powierzchowna znajomość tych nauk wystarcza do przekonania się, jak rezultaty badań przeczą tym twierdzeniom, w które tak silnie przodkowie nasi wierzyli. Pojęcia naszych pradziadów o początku i końcu świata już się dziś utrzymać nie mogą. Nie ulega już wątpliwości, że ziemia nie jest głównem ciałem wszechświata, i że świat nie jest stworzony dla wygody człowieka. Wiemy, że natura jest wyrazem określonego, niczem nienaruszalnego porządku, że nakoniec zbadanie tego porządku i odpowiednie skierowanie się stanowi główne zadanie ludzkości. A dalej, cóż to za pouczającą krytykę życia czerpiemy z dowodów wprost przeciwnych dawnym wierzeniom. Krytyka ta nie powołuje się na powagi, nie opiera się na tem, co ktoś powiedział, lecz zwraca się prosto do przyrody. Przypuszcza ona, że wszystkie nasze objaśnienia zjawisk natury są mniej lub więcej niedokładne, ale przez to pobudza tylko uczonego do szukania prawdy nie w słowach, lecz w rzeczach. Ostrzega nas, że sądzić o czemś poza obrębem wiadomości jest nietylko błędem, lecz i występkiem.

Wychowanie czysto klasyczne, jak je chcą mieć współcześni przedstawiciele humanitaryzmu, nie daje na to wszystko żadnego poglądu. Człowiek, wykształcony wedle tego systemu, może być uczeńszym aniżeli Erazm i pozostać w takiej jak on nieświadomości co do przyczyn ruchu umysłowego w naszych czasach. Niezaprzenie uczeni ludzie tej szkoły, godni wielkiego szacunku, okazują nieraz zupełną nieznajomość podstawowych zasad badania naukowego, nieumiejętność zrozumienia tego, co uczony nazywa prawdą, zupełne niepojmowanie znaczenia niezaprzeczalnych zdobyczy naukowych...

Epokę odrodzenia nazywają często okresem ożywienia literatury; jak gdyby wpływ który podziałał wówczas na umysły zachodniej Europy wyczerpywał się całkowicie w dziedzinie literackiej. Mnie się zdaje, że przytem zapominają zwykle, iż tenże wpływ wywołał wtedy ożywienie także ruchu naukowego, może mniej widoczne, lecz niemniej znaczne. W rzeczywistości niewielu rozrzuconych po różnych krajach badaczów przyrody w owe czasy pochwyciło nić jej tajemnic, w tym samym stanie, w jakim ją przed lat tysiącem upuścili grecy. Ci grecy tak wyłożyli zasady matematyki, że nasze dzieci uczą się geometryi według książek napisanych dla uczniów aleksandryjskich przed dwoma tysiącami lat. Nowa astronomia jest naturalnym rozwojem prac Hiparcha i Ptolomeusza; nowa fizyka jest tem samem wobec fizyki Demokryta i Archimedesa; potrzeba też było dużo czasu na to, aby nowa biologia przeszła po za granice wiadomości, przekazanych nam

---

[1]) Jest to streszczenie mowy, wypowiedzianej przy otwarciu w Birmingham szkoły, założonej przez bogatego przemysłowca angielskiego z celem dostarczenia wychowańcom wiedzy praktycznej.

przez Arystotelesa i Teofrasta. Niepodobna więc zrozumieć zupełnie myśli i przekonań greków, nie znając ich pojęć o zjawiskach przyrody. Jakże ocenilibyśmy ich krytykę życia, nie wiedząc, o ile na nią wpłynęły naukowe pojęcia? Fałszywie uważalibyśmy się za spadkobierców ich cywilizacyi, jeśli się nie przejmiemy tem przekonaniem, tą niewzruszoną wiarą, którą już znakomitsi mężowie Grecyi wyznawali: że tylko swobodne działanie rozumu, wsparte naukową metodą, prowadzi do poznania prawdy.

Tym sposobem dochodzę do wniosku, że nasi humaniści powinniby umiarkować nieco swoje pretensye do wyłącznego dziedziczenia ducha starożytności, a może nawet wyrzec ich się całkiem.

Niechciałbym jednak, aby mnie po tem, co powiedziałem, podejrzywano o chęć zdyskredytowania nauk klasycznych. Przyrodzone człowiekowi zdolności bywają rozmaite, równie jak okoliczności do zastosowania ich pomyślne. Nadto, jakkolwiek cywilizacya jest jedna, drogi, po których dościga ją łatwiej jeden człowiek, różnią się wielce od dróg, po których dogodniej dążyć do niej drugiemu. Wykształcenie zresztą naukowe znajduje się obecnie dopiero w stanie początkującym, jest niejako uważane za doświadczenie, — podczas gdy wychowanie klasyczne przedstawia się w zupełności zorganizowanem przez praktyczne próby licznych pokoleń pedagogów. Dla tego to sądzę, że młody anglik, jeśli swobodnie rozporządza swoim czasem i przygotowuje się do zwykłego życia społecznego lub do pracy literackiej, może i teraz odebrać wykształcenie w naszych zwykłych szkołach a niedostatki tego wychowania wypełnić później własną pracą. Dla tych jednak młodzieńców, którzy chcą się poświęcić nauce, lub zostać np. lekarzami, lub wreszcie sposobią się do zawodów fachowych,—wykształcenie klasyczne jest, mojem zdaniem, drogą stanowczo błędną.

Ten wniosek praktyczny kończy właściwie uwagi Huxleya, dotyczące samej kwestyi wykształcenia klasycznego i realnego, któreśmy tu pobieżnie w konturach tylko skreślili. Dalej uczony dotyka stosunku nauki do rękodzielnictwa i przemysłu—potrąca o tak ważne dziś względy społeczne, i wypowiada przytem myśli, których — mówiąc już o sprawie wychowania naukowego — pominąć nie możemy.

Nie zawadzi pamiętać — są słowa mówcy — że dobroczynne skutki przemysłu zależą nietylko od udoskonalenia procesów fabrycznych i uszlachetnienia charakteru osobistego jednostek; wchodzi tu jeszcze czynnik trzeci, a mianowicie: jasne pojmowanie społecznych warunków życia tak ze strony kapitalistów jak pracowników i zgodna jednomyślność ich względnie do podstaw socyalnej działalności. Powinni oni wiedzieć, że zjawiska społeczne, na równi z wszystkiemi innemi zjawiskami, są wyrazem praw natury, i że żadne porządki socyalne nie mogą być trwałemi, jeśli się nie zgadzają z prawami społecznej statyki i dynamiki; że w samej naturze rzeczy kryje się sędzia, którego wyroki same przez się wprowadzają się w wykonanie. Takie poznanie nabywamy za pomocą zastosowania używanych w fizyce metod badania do badań zjawisk socyalnych. Dla tego zaleca Huxley, aby wyborny plan nauki ustanowiony dla kolegium Massona, uzupełniony został wykładem socyologii. Jakkolwiek — powiada — wszyscy zgadzamy się na to, że stronnictwa polityczne powinny być usunięte od wpływu na naukę w szkołach, to przecież — zwłaszcza w kraju rządzonym przez powszechne głosowanie — każdy człowiek pełniący swoją obywatelską powinność nie może się wyrzekać i swoich politycznych obowiązków. Jeśli można przeciwdziałać złemu, jakie bywa nieodłącznem od dobrych stron politycznej wolności; jeśli możliwem jest na miejsce wiecznego chwiania się narodów między anarchią a despotyzmem, postawić trwały pochód wstrzemięźliwej swobody—to urzeczywistni się cel ten tylko wtedy, gdy ludzie stopniowo przywykną do obchodzenia się z kwestyami politycznemi tak jak z kwestyami nauki; gdy na jednem i drugiem polu zarówno będą się wstydzili zbytniego pospiechu i uprzedzeń stronniczych; gdy się przekonają, że mechanizm społeczeństwa jest co najmniej równie skomplikowany jak mechanizm np. machiny przędzalnej i że go naprawiać nie można przez mięszanie się ludzi, którzy sobie nie zadali trudu, aby zbadać zasady jego działania.

TAJEMNICE ŻYCIA DUSZY.

V.

„Że w przyrządach nerwowych — odpowiada na to pytanie Sieczenow — w stanie utajenia przebywają dźwięki i obrazy, nie jest mrzonką... Gdyby wrażenie rzeczywiste kończyło się zupełnie wraz z usunięciem zewnętrznego substratu (bodźca, który je wywołuje w organizmie) wtenczas nie było-by co odtwarzać... Chodzi tu o pamięć, to jest o tę nieznaną psychologom [1]) siłę, która jest podstawą psychicznego rozwoju człowieka. I rzeczywiście, gdyby nie było tej siły, każde wrażenie, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu, za milionowym nawet razem swego powtórzenia się powinnoby dawać się uczuć tak, jak i po raz pierwszy... W ogólności wszelki rozwój psychiczny byłby niemożliwy... Wrażenie (powtarzając się) za każdym razem staje się coraz wyraźniejsze... Pomimo nieobecności wyraźnego poczucia, nie należy wnioskować, aby stan pobudzenia nerwu kończył się wraz ze zniknięciem bodźca (w tekście czytamy „wrażenia," ale jest to tylko nieścisłość języka)... Przez częstsze powtarzanie wrażenie staje się coraz wyraźniejszem, a przeto przechowanie go w stanie utajonym bywa daleko trwalsze (?). Utajony ślad przechowuje się coraz dłużej i wrażenie trudniej znika... Dalsze cechy pamięci, wypływające z głównej — przechowywania wrażeń utajonych, polegają na tem, że pamięć trwalszą jest dla wrażeń silnych i wyrazistych, aniżeli dla słabych; dla tego bywa tem mniejszą (to jest mniej wyraźną i świadomą) im świeższe było wrażenie realne... Czemże jest akt odtwarzania zjawisk psychicznych? Jest to tak samo realny akt pobudzenia centralnych nerwowych przyrządów, jak pierwsze lepsze psychiczne wyobrażenie, wywołane rzeczywistym wpływem zewnętrznym, działającym w danej chwili na organa zmysłów" [1]).

Przytoczyłem tu kilka ustępów z pracy jednego ze staranniejszych badaczów tego przedmiotu, ażeby okazać czytelnikowi, w jaki sposób teorya fizyologiczna pamięci, którą uważam za niezdolną do wytłómaczenia tej kategoryi zjawisk, ze sprawą tą się załatwia. Sieczenow dowodzi, nie porachowawszy się z trudnościami, jakie starałem się zebrać w niniejszej pracy, że „*wrażenia pozostają w przyrządach nerwowych w utajonym stanie*," czyli — innemi słowy—że przyrządy nerwowe jakoby pozostają niezmienne przez całe życie pewnego danego organizmu. Taki przynajmniej musi być wniosek z jego nauki, — wniosek, który w poprzedniej mojej pracy *O pamięci* starałem się obalić. Wyrażenie to, że „wrażenia pozostają w nerwowych przyrządach w stanie utajonym," że — jak powiada Benecke — pozostawiają po sobie *ślady*, jest najzupełniej fałszywe i dla tego powinno zostać usunięte raz nazawsze z pola badań psychologicznych, jako wprowadzające w błąd samych badaczów tej ważnej kwestyi. Bo i do czego prowadzi twierdzenie Sieczenowa? Jeżeli w przyrządach nerwowych, które składają się z komórek nerwowych, pozostają wrażenia w utajonym stanie na długo, a czasem i na zawsze — nerwy nie są nerwami, ale czemś innem, nam najzupełniej nieznanem. Wrażenie pozostaje, a nerw ginie i obumiera. Dla czegóż wraz z nim nie ginie wrażenie? Jeżeli zaś wrażenie pozostaje, a nerw rozkłada się i oddala z organizmu, więc wrażenie pozostawało nie w nerwowych przyrządach, lecz w czemś innem. W czem-że więc? — oto pytanie, które musimy pozostawić bez odpowiedzi.

Jeżeli cząstki nowe, z których się tworzą nowe komórki nerwowe, zajmując miejsca opuszczone przez zużyte cząstki nerwów upodobniają się do otoczenia, znaczy to, że przybierać muszą pewną nową postać, że otrzymują nową formę, pewną nową budowę. Napotykamy tu kwestyę morfologiczną, kwestyę budowy i zależnych od niej funkcyj. Lecz kwestya ta morfologiczna jest w gruncie kwestyą pamięci organizmu. Różnorodne zewnętrzne wpływy na organizm zmuszają go zastosowywać się do otoczenia, zmuszają go do pewnych, koniecznych w danym razie czynności, np. poszukiwania odpowiedniego mu pokarmu w pewien właściwy mu sposób, poszukiwania schronienia do walki z wrogami i t. p., co wszystko jest przyczyną jego formy, trybu życia, przyzwyczajeń it.d.; słowem wpływy te są warunkiem, od którego zale-

---

[1]) O ile ta siła znana jest fizyologom, już mówiłem; zresztą będzie o tem mowa jeszcze niżej. Korzystam ze sposobności, ażeby uwydatnić tu tylko ten sposób traktowania zagadnień psychologicznych, jaki właściwy jest fizyologom, nieuwzględniającym zasadniczych różnic, o których już wspomniałem nieco wyżej.

[1]) Ob. *Odruchy*, wyż. cyt., str. 111, 112, 114, 116, 117 i 127.

ży jego budowa i czynności, oddziaływają nawet na potomstwo, to jest stają się dziedziczną o nich pamięcią. A organizm, który zapomina o nich, ginie. Z formą związane są pewne czynności, funkcye organizmu, od funkcyj tych znowu zależy sama forma. Tyle tylko o tem wiemy. Jeżeli zaś wpływy, o których mowa, przechodzą z pokolenia na pokolenie, czyż można przypuścić, nawet mając na względzie wszystko wyżej powiedziane, ażeby *wrażenia odebrane kiedyś przez pra-pra-pradziada pozostawały w utajonym stanie w przyrządach nerwowych pra-pra-prawnuka?*

Jeżeli trudno nam zrozumieć zjawisko to w stosunku do pewnego (hypotetycznie np. pierwszego, odbierającego wrażenia) organizmu, to stokroć trudniej w stosunku do całych już i licznych pokoleń. A jednak fakt pozostaje faktem, nie rozumiemy go tylko wcale, bo nie posiadamy środków do wytłomaczenia tajemnicy.

Dla wyjaśnienia jej, pewien uczony, Göring [1]), ucieka się do hypotezy następującej: „Z komórki, która już posiada pewien stopień dojrzałości, tworzą się komórki-córki (*Tochterzellen*), które odziedziczają w mniejszym lub większym stopniu własności komórki-matki (*Mutterzele*), aprzeto są niczem innem, jak tylko jej powtórzeniem. Wzrost ten i to rozmnażanie się komórek jest szczególnym rodzajem tych szczególnych funkcyj, które są charakterystyczną cechą organicznej materyi — funkcyj, polegających nie tylko na przemianie i ruchliwości zawarcia samej komórki, ale i na przemianie jej formy, na jej powiększaniu się i samopodziale (*segmentacyi*). W ten sposób reprodukcya funkcyj przejawia się także i w postaci reprodukcyi samej komórki.“

Postawione w ten sposób pytanie napozór odrazu rozstrzyga wątpliwości: wszystko zależy od tego, że komórka dzieląc się na cząstki, w gruncie rzeczy zawsze pozostaje komórką, tą samą, która uległa samopodziałowi, a więc w każdej następnej komórce, bodaj już milionowym potomku pierwszej, zawiera się część pewna protoplastyczna. Wszystko to byłoby tak, gdyby tak tylko było. Jednakże rzecz się ma inaczej. Nie może być mowy o podzielności komórki, której już niema, która uległa zniszczeniu, zużyła się i znikła, która przestała wreszcie być komórką. Rozumie to dobrze i sam Göring, gdyż powiada dalej: „daje się to widzieć szczególnie u roślin, których główną funkcyą jest wzrastanie, wówczas kiedy w zwierzęcym organizmie przeważają *inne funkcye*.“ Ale właście te to inne funkcye, o których Göring uważa za dostateczne i stosowne powiedzieć tylko to, że są inne, funkcye pracy, połączonej z rozkładem, zużyciem się i śmiercią cząstek, są właśnie stanowczem zaprzeczeniem tej hypotezy, dobrej może dla roślin, wcale nie nie znaczącej i nie rozstrzygającej w odniesieniu do zwierzęcego i ludzkiego organizmu. Hypoteza może być stosowaną do przypuszczalnych tylko organizmów, ale nie do rzeczywistych, ponieważ życie tych ostatnich — a o nie tu głównie nam chodzi — zupełnie jest odmienne od życia owych hypotetycznych organizmów, których opis znajdujemy u Göringa.

Teorya powyższa i z innych jeszcze względów jest błędna. Bo po 1-sze inne są czynności i tryb życia komórek np. roślinnych lub niższych organizmów (wymoczków), które całe składają się z jednej tylko komórki, — inne zaś całkiem czynność i rola komórek tkanki nerwowej człowieka. Pominąwszy bowiem, że skład już sam tych ostatnich jest różny od składu komórek niższych zwierząt, czynności ich są zupełnie różne. Ostatnie, zdaniem fizyologów, nie posiadają świadomości, nie myślą, nie doznają wzruszeń i uczuć, właściwych ludziom — komórki zaś tkanki nerwowej człowieka spełniają czynności nadzwyczaj liczne i nadzwyczaj złożone; dosyć wspomnieć o tem, że niektórzy w nich upatrują siedlisko świadomości. A jeżeli tylko funkcye są odmienne, z konieczności odmienną być musi i organizacya, oraz odwrotnie. Na tem polega właśnie zasadniczy błąd teoryi Göringa i analogie jego są powierzchowne i nieuzasadnione.

Niedość na tem, bo po 2-re są one w sprzeczności z faktami. Nie uwzględniają wcale antagonizmu, jaki zachodzi pomiędzy procesem wzrastania i czynności, albo raczej działalności a płodnością organizmów. Można przyjąć za pewnik kilka następujących prawd empirycznych, jakkolwiek w przyszłości należy się spodziewać sprostowania każdej z nich w tym lub innym (dziś może nawet niespodziewanym) względzie. Faktem jest, że im większą jest działalność organizmu, tem mniejsza jest jego płodność; im w lepszym (a dla nas nieznanym) stosunku znajduje się ilość pożywienia do ilości pracy, t. j. czynności, wykonywanych przez organizm, tem większa jest jego płodność i odwrotnie, chociaż przy nadmiernym odżywianiu się i tyciu płodność się zmniejsza i nakoniec przechodzi w zupełną niepłodność. „Każdy krok naprzód (to jest każdy stopień rozwoju organizmu) na drodze postępu wymaga poprzednich oszczędności,“ dlatego wielki wydatek na czynności, związane z wysiłkiem, ze stratą energii, ze zniżeniem temperatury, zależnej od utleniania się organicznej materyi, jest warunkiem nieruchomości, to jest stanu sprzecznego z rozwojem. Tak np. zwierzęta o krwi ciepłej są mniej płodne od zwierząt o krwi zimnej — mowa tu głównie o kręgowych, ale za to pierwsze są nieporównanie czynniejsze od ostatnich, to jest ruchliwsze, — siła akcyi jest większa, twórczość mniejsza [1]). Oto są fakty, które zgoła zaprzeczają teoryi Göringa, osnutej wprawdzie na faktach także, ale rozważanych w oderwaniu od warunków, wśród których zmuszony jest żyć i działać żywy organizm. Göring miał na względzie jedną kategoryę zjawisk, pominął zaś bez najmniejszej uwagi kilka kategoryj innych, wręcz sprzecznych jego założeniu. Jeżeli zaś fakta mają nas doprowadzić do pewności, muszą być rozważane tylko łącznie, tylko wszystkie razem, a nie każdy zosobna i bez związku z innymi.

Drugim wnioskiem, do którego wiedzie nas rozbiór zarówno samych procesów psychicznych, jak i teoryj fizyologicznych, na drodze wytłomaczenia tych procesów powstałych, musi być uznanie duszy, jako istoty niezmiennej, niepodzielnej, niezależnej od zewnętrznych na nią wpływów, niezależnej w ten sposób, w jaki jest i musi być zależne ciało. Musimy się uciekać do hypotezy, dotyczącej istnienia ducha, bo przypuszczenia materyalistyczne prowadzą nas na rozdroża, wśród których błądzimy.

Jeżeli ciało się zużywa i niszczy, jeżeli jest zmienne, należy przypuścić, że, ażeby mogła istnieć pamięć, musi istnieć coś innego od ciała, ale znajdującego się w pewnym z niem związku, niepodobnego, niezmiennego i z natury swej wręcz sprzecznego z niem, o ile to ostatnie i własności jego rozumiemy, — wreszcie coś takiego, co nie ulega zniszczeniu. Ztąd owa dusza musi być czemś najzupełniej nam nieznanem [1]) i niezrozumiałem, — bardziej nawet aniżeli samo ciało, o którem tak mało wiemy. Powiedziałem wyżej, że psychologiczny termin: dusza jest symbolem, a chociaż odpowiada pewnej jakiejś realności, w każdym razie realność ta jest zupełnie dla nas niepoznawalną. Symbol ten, czasowy termin, ułatwić nam może rozumowanie tylko względnie. Jeżeli bowiem dusza jest tą sferą, w której zachodzą psychiczne zjawiska, a zarazem tym czynnikiem, dzięki któremu zachodzą te zjawiska, w takim razie jakąż jest rola ciała? jaką czynność spełniają nerwy i mózg? i czy wreszcie ta ostatnia jest w jakimkolwiek stosunku do czynności duszy, czy nie, — to jest czy dwie te czynności są w koniecznym ze sobą związku, czy koniecznie muszą jedne drugim towarzyszyć, — czy też tylko łączy je ze sobą jedynie spółczesność przy zupełnej ich od siebie niezależności? Bo być może, przyjąwszy jako pewnik ten konieczny związek, popełniamy, nie przeczuwając nawet tego, błąd, widząc *post hoc, ergo propter hoc* lub *cum hoc, ergo propter hoc* tam, gdzie tego zgoła niema. Pytania te są pierwszorzędnego znaczenia i uwagi i ze wszech miar zasługują, a nawet wymagają od nas tego, na rozbiór [2]).

(Dokończenie nastąpi).

Feliks Bogacki.

---

[1]) Ob. broszurę jego *O pamięci, jako powszechnej funkcyi organicznej materyi*, wydaną (zdaje się) w 1870 roku.

[1]) Patrz *Zasady Biologii* Herberta Spencera, tom 2-gi, cz. VI, VIII, § 350, § 354 i 355, rozdz. X. § 864, rozdz. XI. § 348, rozdz. VIII. § 347, rozdz. VIII.

[1]) W wywodach autora, zdaniem naszem, zachodzi sprzeczność. Bo jeżeli dusza „jest czemś najzupełniej nam nieznanem,“ to 1) skąd wiemy, że ona jest a 2) że jest „niezmienną, niepodzielną, niezależną od wpływów zewnętrznych?“ Według naszego przekonania, ta sfera zjawisk, którą pospolicie nazywamy duszą, ani nie jest nam „najzupełniej nieznaną,“ ani też na tyle znaną, ażebyśmy rzec mogli, że stanowi „istotę niezmienną i niezależną od wpływów zewnętrznych“ (*Red.*).

[2]) Byle tylko nie w sposób praktykowany przez filozofię niemiecką. Nikt więcej nie sprawił szkody, w tym kierunku nad Hegla np. i późniejszych niemieckich filozofów, takich znów jak Benecke, dla których wszelkie morze zdawało się być tylko po kostkę, a którzy nie rachując się ze słowami, stworzyli naukę, której często sami nie rozumieli.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Dla Zagrzebia, Album Koła Literackiego we Lwowie.

Chociaż literatura i sztuka nie opływają u nas w bogactwo a nierzadko wiodą chudopacholskie życie, jednakże filantropia czerpie z ich skarbnicy stosunkowo więcej aniżeli z kas magnackich i bankierskich. Dzięki tej ofiarności pracowników pióra i atramentu, ukazała się we Lwowie nowa książka zbiorowa, która ratując kroackich pobratymców, dotkniętych klęską trzęsienia ziemi, przynosi piśmiennictwu naszemu równiankę literacką, uwitą ze skromnych kwiatów i ziela.

Chcąc zachować porządek wśród ułożonych z albumową przypadkowością trzydziestu trzech płodów literatów i uczonych lwowskich, musimy mówić o nich grupami, zaczynając wedle dawnej tradycyi od królowej nauk. Pana Ochorowicza powieściowo-symboliczna legenda: „Istota bytu" nie ma wprawdzie ściśle naukowej wartości, ale jest wcale oryginalnym arabeskiem filozoficznym. Widzimy tu uosobionego w postaci mędrca indyjskiego Jaynavalkya ducha metafizyki, która przez trzydzieści wieków kusiła się o rozwiązanie zagadek bytu. Jaynavalkya idąc drogami wiodącemi do wiedzy o istocie bytu, spotyka się z całym szeregiem filozofów wszystkich epok i czasów, którzy mu dają najróżniejsze odpowiedzi, aż nareszcie zobaczył dzisiejszych „budowniczych gmachu wiedzy ścisłej," którzy w pokorze ducha oświadczyli, że nie wiedzą, co to jest istota bytu i świata, tylko znają prawa rządzące zjawiskami. Słysząc to Jaynavalkya, padł i skonał, a na jego nagrobku przyjazne ręce napisały: „umarł, lecz nie zginął." W lekkiej belletrystycznej formie p. O. wyraził tu pogląd najnowszej filozofii, która szanując szlachetne i wysokie myśli, dążenia metafizyki — skazała ją na śmierć czasową z nadzieją zmartwychwstania. Z dziedziny psycho-fizyologii p. Kozłowski skreślił notatkę „O Temperamentach," streszczając najnowsze poglądy naukowe na istotę ludzkich usposobień. Jest to dobrze opracowany rozdział popularnego podręcznika.

Z dziedziny nauk przyrodniczych jeden tylko p. Radziszewski dał kilkudziesięcio-wierszowy urywek: „Czego potrzeba chemii," w którym wykazuje potrzebę gruntownego zbadania praw statyki i dynamiki chemicznej, oraz podciągnięcia ich pod prawa teoretycznej mechaniki, zaznaczając potrzebę wynalezienia jednostki miary ruchu chemicznego.

Z dziedziny agronomicznej kilka przelotnych uwag: „O ważności lasów," rzucił p. Henryk Strzelecki, który jako dyrektor szkoły gospodarstwa leśnego mniemał, że sam tytuł nada wartość kilku oklepanym frazesom, zbywającym kwestyę ogromnej dla kraju doniosłości.

Wśród artykułów treści społecznej i ekonomicznej najdzielniej napisanym jest p. Alf. Zgórskiego: „Nędza najobfitszem źródłem dochodu," w którym autor jasno a dosadnie ukazuje przyczyny wzmagania się potęgi kapitałów, wyzyskującej niepowodzenia pracy i klęski społeczne, wysysającej ostatnie soki producentów i robotników, ostrzegając przed katastrofą dziejową, której nie chcą przewidzieć społeczeństwa kierowane dłonią wsteczników, pomijające najważniejsze zagadnienia socyalne.

Najbliżej związanym z treścią wydawnictwa jest p. Bilińskiego ciekawy szkic ekonomiczny: „Trzęsienie ziemi i konjunktury gospodarcze," w którym autor przedstawił szereg zmian i skutków wywołanych przez katastrofę zagrzebską w stosunkach przemysłowych, handlowych i finansowych. Szkoda tylko, że zbytek optymizmu podyktował autorowi poglądy, w świetle których trzęsienie ziemi przedstawia się nie jako klęska, ale dobrodziejstwo dla ludzkości. Z dziedziny finansowej mamy specyalną, najeżoną cyframi notatkę p. Goldmana Bernarda: „Kapitał akcyjny wiedeńskich instytucyj finansowych."

Jednym z ciekawszych artykułów zbioru jest d-ra Roszkowskiego: „O projektach kodyfikacyi prawa wojny," przedstawiający jasno a pouczająco czynne usiłowania komisyj i korporacyj prawniczych, które podjęły doniosłą kwestyę złagodzenia okropności wojny i ujęcia w pewne prawne normy tego, co właśnie dotąd było zwycięstwem siły nad prawem. Wartość jasno wypowiedzianych ogólników posiada fragment dr. Kleczyńskiego: „Znaczenie ludności dla państwa," wykazujący dość pobieżnie ważność statystyki dla mężów stanu, kierujących nawą państwowego losu na morzu dziejowem. Dziejowe i okolicznościowe zarazem znaczenie posiada praca p. Baranowskiego: „Etnograficzne i językowe stanowisko kroatów," napisana starannie, przedstawiająca krótko ale jasno rolę tego plemienia w ogólnym rozwoju spraw słowiańszczyzny południowej.

Z historycznych artykułów najciekawszą jest d-ra Liskego barwnie napisana charakterystyka „Mikołaja z Popielowa," słynnego podróżnika szląskiego z XV wieku, chociaż autor nie umiał wybrać najbardziej ciekawych rysów z jego dzieła, podając parę małoznacznych drobiazgów. Kartką z dziejów rycerstwa polskiego jest d-ra Prohaski: „Wyzwanie na pojedynek w XV wieku," świadczące, że średniowieczne pojęcia czci dla dam i u nas były obowiązujące. Kl. Kanteckiego szkic: „Pani starościna Rawska," podaje pewne szczegóły w kwestyi stanowiska kobiet naszych w pierwszej połowie XVIII wieku, a dr. Kętrzyńskiego: „Czartowiec i Hartowiec," jest drobnym okruchem, spadłym ze stołu archiwalnego szperacza.

Barwnie skreślonym urywkiem z dziejów starożytnej cywilizacyi jest p. Ćwiklińskiego: „Attalidzi i literaci w Pergamon." Z powodu najnowszych odkryć starożytniczych, dokonanych w tym małoazyatyckim świecie, p. C. podał ciekawy opis rozwoju tego państewka wyrosłego na gruzach monarchii macedońskiej, będącego w II wieku przed Chrystusem jednem z głównych siedlisk helleńskiej kultury.

Pedagogikę reprezentuje jeden bardzo żywotny i żwawo napisany artykuł p. Z. Sawczyńskiego, który zastanawiając się nad tem: *Czego w naszych czasach żądają od szkoły ludowej i jej nauczycieli*, trafnie szydzi z przesadnych wymagań, jakie teoretycy i socyologowie różnego kalibru stawiają szkole ludowej, chcąc naukę początkową przeciążyć balastem zbytecznych wiadomości, z których drobne tylko okruchy, albo bezładne strzępki zostają w myślach młodzieży.

Cennym przyczynkiem do dziejów literatury ojczystej jest prof. Małeckiego praca: „Filomaci w Wilnie," podająca może suchą, ale krytyczną i szczegółową wiadomość o zawiązku jednego ze stowarzyszeń młodzieży wileńskiej, śród której wyrósł potężny przodownik i twórca naszego romantyzmu. Teolog, dobrowolnie służący literaturze świeckiej ks. Jan Siemieński, pracujący obecnie nad życiorysem największego poety naszego, bardzo sympatycznie opisał *cześć cudzoziemców dla Mickiewicza*. Jest to zebranie faktów znanych, ale opisanych ciepło, barwnie, składających się na całość bardzo miłą dla każdego, kto tylko ceni chwałę narodowego poety. O zadaniach i celach nowej literatury mówi dość ładnie p. Tretiak, wygłaszając *Nowe hasło* umiarkowanego postępu.

O prasie peryodycznej pisze p. Merunowicz w *Aforyzmach dziennikarskich*, niesłusznie walcząc przeciwko zasadzie bezimienności, której nie znosił tylko bonapartyzm, kładący kaganiec na wolność słowa, chociaż jest ono zwyczajem przyjętym w prasie najswobodniejszych krajów, gdzie zwykle jednostka dziennikarska znika a zostaje organ, reprezentujący pewne stronnictwo lub pewien prąd opinii. W tym samym przedmiocie przemawia p. Chłędowski, który w urywku: „Żyd wieczny i dziennikarstwo," wypowiada kilka zbyt ujemnych poglądów na znaczenie dziennikarstwa, jako czynnika wichrzącego umysły i mącącego opinię.

Wśród poetycznych kartek Albumu dla honoru nazwiska dajemy pierwszeństwo kilku drobnym „Urywkom Kraszewskiego," który w dość pospolitych rymach wypowiedział tu kilka równie pospolitych maksym, należących głównie do filozofii przesytu i rozczarowania. Z innych płodów muzy poetycznej najlepszym jest p. Biernackiego (Rodocia) satyryczna piosnka *Bravissimo*, pełna naturalnego, prawdziwie satyrycznego humoru. W wierszyku „Szachy" Jan Al. Fredro znany bawiciel sceniczny występuje jako harcujący z wielkim humorem rzecznik złej sprawy i przedstawia w osłonie wyraźnej allegoryi, jak wielką klęskę na szachownicy społecznego życia ponoszą szachy niemające figury, której zwykle daje się mata. P. Aurelego Urbańskiego „Arlekin," fantazya karnawałowa, jest tak chimeryczną, że zamiast smutnego wrażenia tragicznego budzi tylko uśmiech politowania nad mózgami, w których się lęgną podobne dziwolągi. Pana Zagórskiego Włodzimierza „Vanitas vanitatum," urywek z lirycznego poematu: Król Salomon jest poetyczną parafrazą niektórych sentencyj biblijnego mędrca, przyprawnych nowożytną goryczą sceptycyzmu i palącą tęsknotą rozwiązania pytań nierozwiązalnych. Utwór ten należy do kategoryi poezyi rozpaczliwej, której epoka obecnie już minęła, posiada kilka pięknych i silnych ustępów, chociaż grzeszy rozwlekłością i nie zawsze udatnem podrabianiem archaicznego tonu.

Z fragmentów powieściowych wart zaznaczenia szkic Wł. Bełzy: „W Królestwie ruin," z którego dowiadujemy się, że bohater znany z powieści Goszczyńskiego: „Król Zamczyska," nie jest bynajmniej istotą wymyśloną, ale naprawdę poetycznym i upoetyzowanym waryatem.

Achillesową piętą Albumu są jego humoreski. P. Horaina: „Rażony piorunem," pomimo humoru w opowiadaniu jest grubą facecyą, w której autor błaznuje niesmacznie na temat bardzo smutny i robi farsę z pogrzebu. P. Wilczyński w „Zbrodni urzędowej" opowiada bez talentu o nader błahym wypadeczku biurowego życia a sama wartość jego humoreski dowodzi, że tym razem z żadnej komedyi *nie zapożyczył* pomysłu. P. Starkla humoreska „Samowar," oraz wiersze p. Antoniewicza i Grelińskiego nie zasługują prawie na wzmiankę.

Rzuciwszy okiem na całość zbioru, widzimy, że najpomyślniej przedstawia się w nim dział nauk społecznych, w którym prace p. Alf. Zgórskiego, Roszkowskiego i Bilińskiego zalecają się ważnością przedmiotu i żwawem opracowaniem. Daleko mniej żywotności okazali historycy lwowscy, bawiąc się w drobiazgowe notatki lub ciekawostki archeologiczne. Dwie prace filozoficzne nacechowane są świeżymi prądami myśli. Ciekawym rysem stosunków literackich lwowskich jest pessymizm w sądach o prasie peryodycznej, zabarwionych widocznie specyalnie galicyjskim kopciem. Beletrystyka przedstawia się najbiedniej z wyjątkiem zgrabnych wierszy Rodocia i Fredry, oraz kilku ustępów z poematu p. Zagórskiego, nacechowanych pewną głębokością myśli. Z innych artykułów przeróżnej treści wybitnieją prace pp. Małeckiego, Radziszewskiego, Sawczyńskiego i Ćwiklińskiego, i ks. Siemieńskiego, z których każda ma istotną wartość popularyzacyjną lub naukową. Wogóle rzeczy dobre przeważają w Albumie nad lichszemi a chociaż brak tu prawdziwych brylantów literackich, jednakże całość korzystnie świad-

czy o atmosferze literackiej we Lwowie, odświeżanej zdrowymi prądami myśli. Prace pożyteczne i postępowe nadają zbiorowi ton żywotności i świeżości, a nigdzie prawie nie widać zatęchłej ciasnoty pojęć panujących w niektórych naszych koteryach literackich. Jak na wydawnictwo filantropijne bardzo mało mamy tu okruchów rzuconych od niechcenia, tak że Album lwowskie wyróżnia się zaszczytnie wśród wszystkich zbiorowych darów, jakie literatura ofiarowała ostatniemi czasy ludziom dotkniętym przez klęski i kataklizmy przyrody.

J. K.

Historyi Filozofii Langego zeszyt III przeprowadza nas do wieku XVI i XVII. Znajdujemy tu naprzód szczegółowy obraz wskrzeszenia epikureizmu przez Gassendego. Dalej autor zajmuje się Hobbesem. Koniec zeszytu zawiera pierwsze karty dziejów materyalizmu w Anglii. Głównymi bohaterami tych dziejów są Boyle i Newton. Nigdzie może zasługi obu tych myślicieli nie zostały gruntowniej ocenione jak w dziele Langego.

Dwa jeszcze zeszyty, które mają wyjść razem w przyszłym miesiącu, ukończą tom pierwszy, zawierający historyę filozofii materyalistycznej do Kanta.

TEATR.

H. Sienkiewicz. Na jedną kartę, dramat w 5 aktach.

Dramat p. Sienkiewicza na scenie Teatru Rozmaitości poprzedziła głośna, entuzyastyczna fanfara. Pisma, połączone poufnymi korytarzykami z pracownią autora, ogłosiły uroczyście, że w niej narodził się utwór „wyjątkowy,“ „arcydzieło,“ które w „naszej literaturze dramatycznej zajmie jedno z najpierwszych miejsc.“ Nad żadną podobno jeszcze kołyską sławy nie odśpiewano u nas tak wzniosłego hymnu; a gdy nadto po każdej próbie rozbiegały się coraz nowe echa uwielbień, czciciele Melpomeny omal nie zdejmowali kapeluszy przed jej świątynią, w której znajdował się i niedługo miał być publicznie wystawiony ten najświętszy dramatyczny sakrament. Nadszedł wreszcie dzień upragniony. Wzgardziwszy cieniami Korzeniowskich i Narzymskich, zapomniawszy nawet o istnieniu wszystkich współczesnych tryumfatorów teatralnych, poszliśmy na przedstawienie.

Podniesiono zasłonę. Autor wyprowadził kolejno swoich bohaterów i sposobem powieściopisarskim opowiedział ich dotychczasowe dzieje. Ujrzeliśmy księżniczkę Starogrodzką, która jest narzeczoną Pretwica, lubi bardzo doktora Józwowicza, jak się później okazuje, kocha hr. Drahomira a nigdy by nie wyszła za hr. Miliszewskiego. Ma ona niepotrzebnie ojca, który nietylko nie dostrzega zastawionych na córkę sieci, ale nawet pozwala, ażeby za nią w jego własnym domu uganiało się aż czterech młodych zalotników. Motorem sztuki jest dr. Józwowicz, syn kowala wychowany przez księcia, ambitny demokrata, który jednocześnie konkuruje — jawnie o mandat poselski i skrycie o rękę księżniczki. Wyłącznie jednak pilnuje tej ostatniej; bo gdy z wyborcami załatwia się przez swego agitatora Żuka i nawet w decydującej chwili pokazać im się nie chce, do salonu książęcego przyrósł tak dalece, że wszystkich doń sprowadza. Głównym celem tego „Robespierre'a“ jest usunięcie Miliszewskiego oraz poważnienie i uplątanie w pojedynek narzeczonego panny Stelli (Pretwica) z jej idealnym kochankiem (hr. Drahomirem); gdy jednakże pierwszy pada w walce a księżniczka, dowiedziawszy się o tem, ku wielkiemu zdziwieniu bohaterów i widzów umiera, Józwowicz, który wszystko postawił *na jedną kartę*, woła: „przegrałem — strasznie!“ Oto osnowa dramatu, rozwieszona na pięciu aktach. Przyjrzyjmy się naprzód ze strony artystycznej temu „arcydziełu.“

Rozwija się ono w salonie starego, dumnego księcia, który nie pojmuje, ażeby syn kowala mógł zostać posłem i tytułować się Jaśnie Wielmożnym, który swemu wychowańcowi rzuca w twarz dość ostre słowa wzgardy i nie tai, że gdyby go nie potrzebował dla zdrowia, wygnałby ze swego domu. Pomimo to pałac owego zakamienialego magnata staje się niemal publicznym hotelem, do którego każdy swobodnie wchodzi, kiedy chce, w którym oberwany agitator potrąca hrabiego i nie krępuje się obecnością księżniczki, w którym etykietę zastępuje rozkaz syna kowalowego. On jest tak wszechwładnym panem w tym domu, że bez ceremonii, gdy księżniczka zbyteczna, każe jej wyjść, a gdy mu jej narzeczony potrzebny, wzywa go przez lokaja. Rzecz naturalna, że osłonięty tak potężnem skrzydłem rubaszny agitator Żuk depcze meble książęce do syta.

W takie to artystyczne ramy oprawił autor starego księcia, który pojawia się na scenie jak gdyby tylko dla przypomnienia widzom, że wszystko to dzieje się w magnackim domu; dalej jego córkę, którą można przylepić jako winietę na okładce *Filozofii nieświadomości*, która nie wie czemu jednego kocha, drugiego lubi a za trzeciego wyjść by chciała i która umiera, gdy w pojedynku zginął nie kochanek jej lecz narzeczony; w tych ramach wreszcie tkwią trzy maślane figury, trzech paniczów, odznaczających się tem tylko, że jeden wyratował żydówkę z ognia, (i dla tego zapewnie zyskał miłość Stelli), drugi był daleko (i dla tego może został jej narzeczonym) a trzeci słucha się mamy, ale wbrew jej woli ani mężem ani posłem zostać nie chce. Postacie te nie mają żadnych cech szczególnych, odrębnych charakterów; hr. Drahomir różni się od Pretwica tem tylko, że pierwszego gra p. Prażmowski a drugiego p. Leszczyński. Autor pozbawił ich zupełnie energii i woli, nadał tylko wspólną zdolność do wybuchów honorowych.

Te to naczynia arystokratyczne ma rozbić polski „Robespierre“ — Józwowicz. Celem jego operacyi w dramacie—jak rzekliśmy—jest usunięcie lub stracenie współzawodników i zdobycie księżniczki. Dla czego? Czy ją kocha? Nie; nie widzimy w nim wcale namiętności, któraby go popychała do zbrodni. Czy nosi w swej duszy pamięć upokorzenia i żądzę odwetu? Nie; stary książe dźwignął go z niskiego stanu i wychował jak ojciec. Więc może tym sposobem pragnie wspiąć się na wyższy szczebel drabiny społecznej? Nie; mandat poselski dostaje mu się niezależnie od tej operacyi. Więc dla czegóż intryguje, mści się, spycha ludzi w przepaść? Nie wiadomo, chyba dla tego, że jest... przywódcą stronnictwa demokratycznego. Józwowicz stanowi w dramacie p. Sienkiewicza pozbawioną ludzkich uczuć, automatyczną maszynę do zerznięcia na sieczkę snopka arystokratów. Nie jest to nawet maszyna zbyt kunsztowna, działa najzwyklejszymi środkami intrygi a czasem nawet proste jej koła zahaczają się i nie mogą spełnić swego przeznaczenia. Tak np. „Robespierre“ postanawia rzucić głupowatego hr. Miliszewskiego na Pretwica; w chwili jednak gdy widzowie spodziewają się jakiegoś poważnego skutku z tego starcia, „Robespierre“ im donosi, że przeciwników pogodził. I gdyby nie monologi, w których poznajamia nas ze swymi zamiarami, nie rozumielibyśmy wcale jego postępków, tak one w akcyi pozbawione są wszelkich przyczyn, zwłaszcza że jej wątek utkany z pajęczych nici, z zagadkowych stosunków, z nieokreślonych charakterów i niezdecydowanych uczuć.

Gdyby p. Sienkiewicz nakreślił był obraz artystyczny, prawdziwy, ani nie posądzilibyśmy go o tendencyę, lub nie oskarżali za nią. Jaką widział rzeczywistość, taką odmalował, a nie jego wina, że cień padł na demokratów a światło na arystokratów. Jeżeli jednak pisarz, który w swych powieściach złożył dowody bystrego spostrzegania i umiejętnego postaciowania zjawisk życiowych, tworzy figury martwe, pozbawione prawdy, sztucznie nakręcone, to musimy przypuścić, że je wynalazł i użył do pewnego z góry postawionego założenia... Założenie to przedstawia się mniej więcej tak: arystokraci są poczciwi i głupi, demokraci mądrzy i podli. Niepodłe śród tych ostatnich są tylko takie pionki na usługach kierujących figur, jak Żuk. I na jakich dowodach w dramacie opiera się ten wniosek? Czy w nim występują jakiekolwiek czynniki, któreby wyłącznie do właściwości arystokracyi lub demokracyi zaliczyć można? Dla czego Józwowicz nie występuje jako Józwowicz, lecz jako przywódca partyi demokratycznej? Czy jego podłości nie mógłby popełnić szermierz innego obozu? P. Sienkiewicz tak dalece wypchał tendencyą swych bohaterów, że nawet w zacnem sercu Żuka nie pozwolił obudzić się wzgardzie w chwili, gdy ten dowiaduje się o zbrodni doktora. Zamiast go opuścić, napiętnować, agitator daje mu tylko naukę na przyszłość. Tym sposobem autor tę jedyną żywą, chociaż nie polską ale raczej francuską lub niemiecką postać kaleczy niezdolnością poczucia moralnego—na pohańbienie demokratyzmu.

W rozwoju piśmienniczej działalności p. Sienkiewicza, który od *Humoresek z teki Worszyłły i Szkiców Węglem* tak szybko przeskoczył do sielanek szlacheckich i podgryzania postępowych latorośli, dramat *Na jedną kartę* jest objawem bardzo naturalnym. Autor wpadł tam, gdzie się od lat kilku chylił. Jakkolwiek nie sądzimy, żeby losy naszej demokracyi zależały od tak wątłych gromów, przykro nam jednak widzieć w młodym autorze tę chęć duszenia prądu, który ledwie dyszy, to kreślenie nieudolną ręką Rabagasów, którzy jeszcze się nie urodzili, to zniesławianie karykaturami charakterów, które społeczeństwu są potrzebne, a wszystko to w autorze, zawdzięczającym swe najlepsze natchnienia właśnie tej krynicy, w którą lekkomyślnie pluje. Bo i gdzież p. Sienkiewicz w życiu naszem dostrzega gospodarstwo i rozbój demokratów w książęcych pałacach? Można gęgać, ale przynajmniej wtedy, gdy zwycięzcy pod Kapitolem. Tymczasem u nas a podobnie i w Galicyi demokratyzm jest podrzutkiem, którego społeczeństwo niedawno przytuliło i wychowuje. Tak jeszcze młody, że nie miał czasu nauczyć się zbrodni, a dla zachowania życia wiele już cnót w sobie wykształcił, wiele nawet sił p. Sienkiewiczowi do dawnych utworów udzielił. I jak gdyby Nemezys ukarała autora za odstępstwo, napisał on rzecz najlichszą właśnie wtedy, gdy demokratycznym być przestał.

Pisma, które nas uprzedziły w wyrażeniu rozczarowania po dramacie *Na jedną kartę*, otrzymały od jednej z gazet, liczącej p. S. do swych głównych współpracowników, surową naganę. Gazeta owa nieprzychylny sąd wytłomaczyła... zawiścią. Dość naiwnie. Dla czegóż owa zawiść umilkła, gdy oceniano powiastki p. Sienkiewicza? Dla czego nikt zagrożony „współzawodnictwem“ nie zamykał teatru Blizińskiemu? Zdaje nam się, że daleko łatwiej znaleść powód różnicy zdań w rzeczywistym stosunku p. Sienkiewicza do wysławiającej go gazety, niż w domniemanej zawiści. Nic dziwnego, że pisma, które —mówiąc językiem wielkiego publicysty niemieckiego — nie potrzebują w cudzej asafetydzie chwalić różanej woni i które nie brały udziału w fanfarze przed wystawieniem dramatu, mają wolne ręce i sumienie. Być może, iż przez prymat przyjaźni dramat ów wyda-

je się bardzo pięknym, nie przeszkadza to jednak wcale tym, którzy patrzą bez uprzedzeń, widzieć w nim utwór niższy od wszystkich poprzednich prac p. Sienkiewicza i niegodny wyprawionej mu przez kilka pism owacyi. Jest to artystycznie bardzo pospolita, zaledwie kilkoma szczęśliwszymi błyskami oświecona robota, społecznie zaś z gruntu licha. Gdyby autor mógł otrzeźwieć z czadu przyjacielskich kadzideł i gdyby w pierwszym debiucie całą swą dramatopisarską sławę postawił *na jedną kartę*, powiedziałby niezawodnie o sobie to, co Józwowicz: „przegrałem... strasznie“. Życzymy mu szczerze, ażeby się odegrał.

Czyż podobna jednak, ażeby pisarz bogatego talentu zatracił w jednem chybionem dziele wszystkie swoje przymioty? Jakkolwiek pozorny ruch jest dowolnem i częstem wsuwaniem figur czterema drzwiami salonu, podobnem do mechanicznego tasowania kart, wypływa on kilkakrotnie z samego biegu akcyi. Niektóre jej ustępy (np. rozmowa księcia z Józwowiczem o jego przyszłej godności) są bardzo charakterystyczne, inne zaś (Miliszewski) szczerze wesołe. Język p. Sienkiewicza nie był nigdy ani świetnym, ani że tak powiemy — mięsistym; ale był i jest w tym dramacie gładkim, zręcznym i żywym. Jestto mowa, która nie oślepia, ale i nie nuży, nie porywa, ale i nie nudzi, nie jest boską, ale i nie pospolitą. U nas, gdzie zamiłowanie formy nie jest wrodzonym smakiem literatury bieżącej, każdemu staranniejszemu opracowaniu wypłaca się hojne premium z zapisu Szekspirów, Börne'ów, lub Słowackich. Właściwych jednak kandydatów do takiej nagrody mamy bardzo niewielu, a p. S. jeszcze prawa do niej nie zyskał.

W nieokreślone formy najlepsze talenta aktorskie nie mogły wlać życia. Panna Deryng, pp. Żółkowski, Tatarkiewicz i Leszczyński udawali wybornie niestworzonych ludzi. Najżywsza postać Żuka najlepiej też została odegrana przez p. Królikowskiego. Artysta ten przypomniał nam najszczęśliwsze chwile swoich wystąpień. Wspomnieć należy i o p. Wolskim, który umiejętnie wraz z innymi ratował rozbity okręt książęcy.

I. A.

LIBERUM VETO.

Działalność w ostatnim tygodniu. — „Niektóre etapy.“ — Udział historyi i ziem przyległych w naszym karnawale. — Na intencyę biednych. — Lombard prywatny. — Taniec jako sposób dźwigania obowiązków. — Pomnik dla Mickiewicza. — Niepowodzenie składek na szlązaków. — Obrona Miarki. — Komunikat z bezimiennego źródła. — Historya jednego poczhaltera. 77 rs. $63\frac{1}{2}$ kop. długu i 47 rs. emerytury. — Trzeba tańczyć. — Szkodliwość maszyn do szycia i mieszkania na Syberyi. — Szwaczka i Dr. Piekarski. — „Administratiwnaja ssyłka,“ rewizye senatorskie i zjazd kuratorów. — Słowa Najwyższego Reskryptu.

Działalność nasza w ostatnim tygodniu, z powodów łatwo zrozumiałych, spotęgowała się, ale z powodów niezrozumiałych doszła do takiej miary, jakiej już dawno nie osiągnęła. Karty historyi naszej zapisały się tyloma ważnymi wypadkami, że ledwie starczy mi miejsca na suche ich wyliczenie. I tak: w czwartek (cytuję według *Echa*) dwa wieczory w jednym domu u pp. Sz. i G.; w piątek *wspaniały* bal u hr. Ż. P. i wieczór u p. W.; w sobotę *piękny* wieczór u p. A. T. i Z. M.; w niedzielę u pp. T. i J.; w poniedziałek u p. R. we wtorek u p. L. a nadewszystko u hr. Z., gdzie wystąpiły ni mniej ni więcej tylko: Valois, Marya Stuart, żydówka z czasów Jagiełły i chłopka z pod Maciejowic. A były to — jak się wyraża złotousty *Kuryer* — jedynie „niektóre etapy świetnego rozwoju zabaw“ w ubiegłym karnawale, bo „dynamicznych (?) przyjęć“ niktby nie zliczył. „Rozwój“ ten posunął się rzeczywiście tak daleko, że wskrzesił wszystkie wielkie epoki w historyi i ogarnął wszystkie wschodnie dzielnice nam przyległe. Według *Echa*, o którego wiarogodności powątpiewać nie należy, Litwa, Wołyń, Podole i Ukraina dostarczyły Warszawie kontygensu i pomogły nam „w dźwiganiu uciążliwych nieraz obowiązków karnawałowych.“ Rad jestem niezmiernie ochoczemu spełnieniu owych zadań tem więcej, że poczciwa „żydówka z czasów Jagiełły“ miała sposobność po tylu wiekach zatańczyć i że wszystkie te pląsy odbyły się na intencyę... biednych. Według bowiem zapewnienia historyków karnawału, Warszawa chętniej niż kiedykolwiek uczęszczała na bale publiczne, gdyż w tym roku poczuła szczególne miłosierdzie. Biedni nędzarze, co oni by zrobili, gdyby karnawał był krótszym lub gdybyśmy mniejszą mieli ochotę do tańczenia! Bo nie ulega wątpliwości, że począwszy od młodych córek a skończywszy na starych ojcach, wszyscy nogami dawali jałmużnę, wszyscy szli na bale publiczne dla tego tylko, ażeby... pomódz żebrakom. Najszczerzej wyznała mi to jedna z naszych syren.

— Po co pani idzie na bal — spytałem— kiedy taki nudny?

— Kobiety — odrzekła — które mają świeżą i gustowną toaletę, nigdy się nie nudzą. Każda z nas chociażby tylko była sama z piękną suknią, bawi się wybornie.

Ponieważ skromniejsze, tak zwane przez *Kuryer* „dynamiczne przyjęcia“ nie przeniknęły swą sławą do pism, niepodobna więc zestawić nawet przybliżonej statystyki zabaw karnawałowych; przypuścić jednak można następującą proporcyę: kto miał na chleb, częstował gości tortami, kto zaoszczędził rubla, wyprawił wieczór za dziesięć. Musiał to dostrzedz właściciel sali licytacyjnej, skoro tak szybko wniósł podanie o... prywatny lombard. Oby koncesya na tę pożyteczną instytucyę przyszła jak najprędzej i dała u siebie schronienie *markizom*, *chaperonom*, a wreszcie, jeśli tego będzie potrzeba — i „żydówkom z czasów Jagiełły.“

Posypawszy głowy popiołem, dochodzimy do jednego karnawałowego wniosku, mianowicie: najpewniejszym sposobem „dźwigania uciążliwych nieraz obowiązków“ jest u nas bal. Bal opłaca wpisy za studentów, wspiera pogorzelców, ratuje powodzian, karmi i odziewa biednych, nawet wystawia pomnik Mickiewiczowi. Bo wszakże, gdyby nie bal u hr. Tarnowskiego, największy poeta polski nie miałby w Krakowie pomnika. Nie tańczyliśmy wprawdzie na szlązaków i zebrali poważne sumy, ale też niezbyt się nam powiodło.

P. Karol Miarka, szafarz składek, został przed kilku miesiącami uwięziony. O powodach tego uwięzienia głuche tylko do nas dochodziły wieści. Gazety niemieckie i przeciwne Miarce pisma szlązkie oskarżały go o nadużycie grosza publicznego. Znając rzetelność jednych i namiętność drugich, trudno było dać im wiarę, ale zarazem i owa wiara w niewinność posądzonego nie miała na czem się oprzeć. Założywszy przeto ręce, czekaliśmy wyniku sądowej sprawy. Tymczasem przed kilku dniami niektóre pisma ogłosiły jednobrzmiący (znowu!) komunikat „z wiarogodnego źródła,“ że jakkolwiek sąd postawił Miarkę istotnie pod zarzutem przywłaszczenia części ofiar, zarzut ten jest „najzupełniej upozorowany, potwarczy i złośliwie tendencyjny.“ W całej sprawie to tylko jest pewnem, że jeśli p. Miarka będzie miał w sądzie takich obrońców, jak w naszej prasie, choćby był czystym jak łza, przepadnie. Bo przedewszystkiem czyj honor omyło kiedykolwiek z potwarzy bezmienne „wiarogodne źródło“ jednobrzmiącym komunikatem? Publiczność całego świata a nasza szczególnie nie ufa wszystkim jednobrzmiącym plakatom rozpisanym na kolumnach gazet, zwłaszcza bez podpisu. I rzeczywiście kogoby np. przekonało doniesienie: dowiadujemy się z wiarogodnego źródła, że p. Stroussberg jest bardzo porządnym człowiekiem i nie nadużył powierzonych mu kapitałów? Tak bronić, to lepiej nie bronić. Ponieważ prasa nasza (o czem pomieszczające komunikat pisma zapomniały), wcale nie roznosiła uczynionego Miarce zarzutu, kto więc odważył się sprawę tę ujawnić i rozjaśnić, winien był zaopatrzyć się w poważne, imienne, przekonywające dowody, nie zaś w w komunikat „z wiarogodnego źródła.“ Listy dwu, trzech włościan szlązkich posiadałyby większą wagę, niż gołosłowny anonym. Bo i jakiż zdarzyć się może rezultat? Przypuśćmy, że sąd uzna Miarkę winnym — co my będziemy mieli dla udowodnienia jego niewinności? Jednobrzmiące doniesienie „z wiarogodnego źródła?“ Przeciwwaga za mała. Zasłuży się uczciwie ten, kto większą zdobędzie.

Jeżeli mamy kogo bronić publicznie, to przynajmniej tak, jak ktoś w *Wieku* obronił społeczeństwo nasze od zarzutu niezaradności skromniutkim, ale pysznym przykładem. Za błogosławionych czasów istnienia Komisyi Spraw Wewnętrznych i Zarządu Poczt w Królestwie, poczthalterowie otrzymywali dla pocztylionów całe umundurowanie w naturze. Następnie dostawali wynagrodzenie pieniężne rs.... 4 kp. 50. Od r. 1870, po zwinięciu Zarządu Poczt, i te skromne kropelki kapać przestały. Nie przestali jednak gubernialni naczelnicy pocztowi żądać od poczthalterów staranego mundurowania służby. Jeden z nich śmielszej natury wystąpił do władzy z piśmiennem żądaniem, ażeby mu stosownie do kontraktu wypłacono zaległych za 5 miesięcy 77 rs. $63\frac{1}{2}$ kop. Po upływie kilku miesięcy otrzymał wreszcie... odpowiedź, że opłaty nie dostanie, gdyż ją zniesiono „w widokach ustanonienia innego wynagrodzenia.“ Ale i tego innego wynagrodzenia nie doczekał biedak i musiał liberyę pocztylionom sprawić za własne pieniądze. „Tyle czytamy — powiada autor tej skargi — o miliardowych pożyczkach, miliardach kontrybucyj i miliardach długów, że kwota 77 rs. $63\frac{1}{2}$ kop. obok nich na firmamencie cyfr postawiona, jest tak maleńką, iż najsilniejszy teleskop jej nie odkryje. A przecież to cyfra bardzo poważna. Poczthalter, po 34 latach służby, wcale nie lekkiej, otrzymał 50 rubli emerytury rocznej, z czego jeszcze potrąca się 3 rs. na dom inwalidów. Skoro więc dochód jego całoroczny wynosi 47 rs. to kwota 77 rs. $63\frac{1}{2}$ kop. jest dla niego bardzo poważną, bo równa się półtorarocznemu utrzymaniu.“ 47 rs. emerytury! Żyj głupi człowieku, kiedy ci się podoba! Czy na tych ludzi nie wartoby w najbliższym karnawale zatańczyć? Nie ma instytucyi, którąbym częściej przeklinał, jak nasza poczta. Ile ona mi zatraciła listów i gazet, ile napsuła krwi, wszyscy bogowie zliczyćby nie zdołali. Ale cóż! Gdy razu jednego wpadłem wzburzony do poczthaltera z zamiarem pomszczenia krzywd moich, człowiek ten, wysłuchawszy wyrzutów, odrzekł najspokojniej.

— Bóg dał mi troje dzieci, a departament 15 rs. na miesiąc. Niech pan przy tych dwu błogosławieństwach sprobuje nie odklejać marek i nie wypożyczać cudzych pism.

Cóż miałem powiedzieć? Cóż powiem teraz, gdy departament nie oddaje 77 rs. $63\frac{1}{2}$ kop. człowiekowi, który ma niecałe 3 rs. emerytury na miesiąc? Doprawdy wartoby zatańczyć drugi raz i zebrać dla poczthalterów składkę na koszta procesu z departamentem.

Sprawę tę powierzymy drowi Ch., który w *Wieku* tak wymownie potępił zabójcze dla zdrowia szycie na maszynie. Olśniony jego wywodem, natychmiast udałem się do jednej biednej szwaczki i rzekłem uniesiony.

— Na litość, co pani robisz? Chyba nie czytałaś artykułu p. Ch. w *Wieku*! A toż on udowodnił, że szycie na maszynie jest w największym stopniu niehygieniczne. To nie są wcale żarty. Czy pani wiesz, że według dra Gardnera maszyna drażniąco oddziaływa na systemat nerwowy, tamuje trawienie, sprowadza bledniczę? Dr. Levy powiada wyraźnie, że „kobiety pracujące na maszynach miewają bicie serca, niespokojność w nocy, bóle w krzyżach i nogach, zawroty i cierpienia głowy, oczy podsiniałe.“ Pani tego doznajesz? a widzisz! Nie na tem koniec. Dr. Osterlen spostrzegł nawet znaczne osłabienie unerwienia kończyn dolnych. Radzę pani, nie szyj tak wiele a przedewszystkiem kup sobie w tym przedmiocie broszurę dra Żulińskiego.

Rzeczywiście szyć przestała, popatrzyła na mnie chwilę, wreszcie zaczęła się śmiać, jak opętana. Wyszedłem rozgniewany. Wróciwszy do domu, znalazłem na biurku gazetę a w niej doniesienie o śmierci dra Piekarskiego, który umarł przed kilku dniami w naszem mieście. Nieszczęśliwy, mieszkając długo na Syberyi, dostał pomięszania zmysłów. Znowu ofiara... niehygienicznego życia — pomyślałem sobie. Gdyby żył, odczytałbym mu kilka rozdziałów z hygieny... Nie, nie odczytałbym, bo może by się roześmiał, tak jak owa szwaczka.

Cała prasa rosyjska zajmuje się obecnie sprawą tak zwanej „administratiwnoj ssyłki,“ która co najmniej ma uledz znacznym ograniczeniom. Może to nauczy nierostropnych ludzi hygieny. Drugim ważnym przedmiotem jej rozpraw są ciekawsze od romansów Gaboriau rewizye senatorskie, a trzecim zjazd kuratorów, który wreszcie się skończył, przyszedłszy do kilku mniej ważnych wniosków, zamiast do jednego najważniejszego, mianowicie: żeby nade drzwiami wszystkich szkół były wyryte i zawsze stosowane te słowa Najwyższego Reskryptu z r. 1866: „Nie pozwalam ani Sobie, ani komukolwiek przemieniać rozsadników nauki na szkoły dla osiągnięcia celów politycznych; zwierzchności szkolne winny mieć na widoku tylko bezinteresowne służenie oświacie.“

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Uwagi nasze nad projektem złożenia starań o oświatę ludu w ręce panien, naraziły nas na niezadowolenie autora tej myśli, pana Agricoli, uprawiającego grządki projektów społecznych w *Korespondencie Płockim*. Czytelnicy zainteresowani tą panieńsko-cywilizacyjną misyą, mają zapewne w świeżej pamięci to, cośmy (w nr. 4 *Prawdy*) o niej powiedzieli; dziś więc, ograniczymy się tylko na prośbie do pana Agricoli, aby sobie artykuł nasz z chłodną rozwagą odczytał. Przekona się wtedy niezawodnie, że treść jego jest taka: niechaj się panny zajmują oświatą ludu — i owszem; tylko nie wstawiajmy tego amatorskiego zatrudnienia, które innem być nie może, w program organizacyi pracy społecznej, jak to chce pan Agricola; taka bowiem działalność, któraby odpowiadała doniosłości założenia, przechodzić musi zakres sił i kompetencyi — panien. Jak zaś rozumiemy warunki tej działalności, tośmy wskazali na przykładzie p. Mayznera. Pan Agricola tymczasem znalazł w wywodzie naszym tylko „dumę przysięgłego literata“ — „nieprawidłowe zabarwianie obrazów w szkle naszej perspektywy“ — „niewypowiedzenie czego chcemy (!) — nierozróżnianie teoryi od praktyki“. Wybaczy nam pan Agricola i *Koresp. Płocki*, że co do tych zarzutów, które dotyczą tylko osobistych ułomności piszącego to słowa i jego perspektywy, pozostawimy ich w spokoju przy zdaniu, jakie im się mieć podoba; „duma przysięgłego literata“ bynajmniej nie pobudza do sprzeczki w tym punkcie, a nie przypuszczamy też, aby p. Agricola był tym optykiem, któryby zdołał usunąć z naszej perspektywy nieprawidłowości, jeśli one są. Nadmienimy tylko co do ostatniego punktu, że właśnie rozróżnienie teoryi od praktyki podyktowało nam uwagi nasze, a sądzimy, że tym razem po naszej stronie stoi praktyka, gdy po stronie przeciwnika naszego tylko teorya i to teorya z pajęczej przędzy utkana.

Szanowny „preopinant“ nasz uzasadnia w dalszym ciągu wniosek swój motywami, które żadną miarą krytyki nie wytrzymują. Powiada on, że obywatele nic nie robią dla sprawy oświaty, a ponieważ „rąk opuszczać nie wolno“, zatem trzeba sprawę tę oddać obywatelkom. Czy to rozgatunkowanie czynników społecznych wedle płci ma jaką podstawę? Pan Agricola utrzymuje, że tak, albowiem zdaniem jego: „ziemianin nasz stoi niżej umysłowo od przedstawicielek płci pięknej“ — ponieważ „interes inteligentnego rozwoju jest dla niego („ziemianina“) czemś wiecznie niezrozumiałem“, — ponieważ wreszcie kobiety na pensyach „więcej się pożytecznego uczą“ niż mężczyźni w szkołach. Jestto argumentacya tak gołosłowna, tak słomiana, że młócić jej nie myślimy, gdyż nie domłócilibyśmy się z niej ziarna Dowodzić nie chcemy, iżby w obywatelstwie wiejskiem roili się luminarze; ale — niech nam daruje p. Agricola — nie możemy się zgodzić na to, aby przeciętny „ziemianin“ stał niżej umysłowo od żony i córek, jeśli umysłowości nie oprzemy na salonowych manierach i karmieniu się — wedle własnego, p. Agricoli wyrażenia — cienkiemi łodygami *Bluszczu* i chudemi *Kłosami*; nie możemy przystać i na to, że na pensyach żeńskich „uczą więcej pożytecznego“. Cokolwiek można powiedzieć o naszym systemacie szkolnym, sąd p. Agricoli o nim jest pustym frazesem.

W zajmującej nas sprawie punkt ciężkości spoczywa właściwie gdzieindziej. Poziom umysłowości mężczyzny i kobiety jest tu względem drugorzędnym. O pedagogikę nie idzie. Tu chodzi o działalność *obywatelską*, a w tym wypadku będziemy zawsze woleli „ziemianina“ niż jego córkę — byle miał potemu dobrą wolę. Inicyatywa jednostek energiczniejszych i światlejszych, przykład dobry — oto, czego na początek potrzeba. Dla tego wskazaliśmy w poprzednim artykule naszym na żywy przykład, który najskuteczniej działać powinien. Pan Agricola opowiada, że „proponował“ już bardzo wiele pięknych rzeczy, a wszystkie projekty przebrzmiały bez echa. Niech się p. A. pocieszy, że pod tym względem dzieli los wielu innych, a przedewszystkiem całej prasy krajowej. Radzimy więc mu, aby zamiast „proponować“, spróbował coś *zrobić*, nie oglądając się na córki, a gdy sąsiad pójdzie tą drogą, obaj osiągną więcej, niż poświęcenia panieńskie.

Nawet przetarłszy naszą *perspektywę* pod wpływem nagany p. Agricoli, nie moglišmy w ubiegłym tygodniu dojrzeć nic, coby zasługiwało na bliższą uwagę. Morderstwa tylko przeplatają się ze złodziejstwami — a fakta te, chociaż w swej sumie mogą posłużyć za materyał dla wywodów etyki społecznej, jako zjawiska odosobnione nie przedstawiają nic pouczającego.

St.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 3 marca.

Gambetta i Bismarck zajmują jeszcze naczelne miejsce na porządku dziennym obecnej chwili, i dziś przeto tym dwom biegunom politycznego globu Europy przedewszystkiem uwagę poświęcić musimy. W przeszłym tygodniu wspomniano na tem miejscu o mowie prezesa francuskiej Izby deputowanych i o postrachu, jaki kanclerz niemiecki szerzy w parlamentach berlinskich. Winniśmy więc dziś wzmiankę dalszym objawom wysnutym z tych faktów.

Pierwszym takim objawem jest komentarz *Republ. fr.* do mowy Gambetty. Nieprzyjazne marszałkowi dzienniki usiłowały tendencyjnie wyszukać jeden z ustępów tej mowy, w którym prezes Izby powiedział, że swoją politykę wyprowadzi na widownię wtenczas dopiero, gdy krajowi spodoba się powołać go na inne stanowisko. Dopatrzono się w tem pretensyi do prezydentury, ba, nawet pogróżek zamachu i przedstawiono demokratycznego trybuna jako cezara żądnego purpury. Organ więc jego w ostrym, ciętym artykule rozprowadza ten ustęp mowy dokładniej i objaśnia, że owem innem stanowiskiem, na które kraj powołać ma Gambettę, jest prezydyum gabinetu, w którem władza wykonawcza łączy się z odpowiedzialnością — dwie rzeczy niezbędne do przeprowadzenia każdego programu. Jestto więc pierwsze głośne stwierdzenie gotowości Gambetty do zajęcia tej naczelnej pozycyi widomego rządu, której to gotowości spełnienie zależeć będzie od wyniku wyborów tegorocznych do parlamentu. Jeśli on wypadnie pomyślnie, co wątpliwości zdaje się nie ulegać żadnej, nastąpi więc ministeryum Gambetty, a z niem niezawodnie i tak zwana polityka czynu wobec zagranicy znacznie się w kursie podniesie.

Takie są wskazówki sytuacyjne, wyprowadzone z ostatniej mowy Gambetty, którą, wedle tego sądząc, prasa niemiecka niebezpodstawnie ochrzciła mianem manifestu przedwyborczego.

Wskazówki to w każdym razie dla Francyi jasne. Inaczej wyglądają horoskopy niemieckie. Tu absolutyzm bismarkowski brnie w własne błoto coraz głębiej — dowodem ostatnia zmiana w ministeryum. Eulenburg otrzymał żądaną dymisyę, a ustąpienie jego wyzyskanem zostaje w duchu jeszcze więcej reakcyjnym. Tekę spraw wewnętrznych ma otrzymać pan Puttkamer, odwrotowy następca Falka w wydziale oświaty i wyznań, który to wydział znowu otrzyma podobno niejaki pan Scheling, syn filozofa, ortodoks czystej wody. Co krok więc, to ruch wstecz. Na dokompletowanie tych pięknych widoków *Nordd. Allg. Ztg.* zapowiada, że kanclerz nie ustanie szturmować do Izb, dopóki mu nie uchwalą zmiany konstytucyi co do zaprowadzenia dwuletnich okresów budżetowych i prawodawczych. Naród tak pracowity, jak są niemcy, — powiada dobrowolnie urzędowy organ — dość będzie miał tego dobrego, jeśli co trzy lata przyjdzie mu dokonywać „operacye“ wyborcze dla sejmów krajowych i sejmu cesarstwa. W latach parzystych obradować będą sejmy krajowe, w latach nieparzystych parlament rzeszy. Dowiadują się zatem niemcy, że parlamentaryzm w pojęciu ks. Bismarcka jest synonimem próżniactwa — teorya, jak na państwo konstytucyjne, niezaprzeczenie wesoła.

W Anglii Izba gmin załatwiła się nakoniec z bilem represyjnym irlandzkim, który dziś lub jutro przejdzie także przez Izbę lordów i będzie mógł być wprowadzonym w wykonanie. Obecnie Izba niższa obraduje nad bilem, również irlandzkim, o zakazie posiadania broni, po uchwaleniu kto

rego dopiero ma przyjść kolej na bil o reformie gruntowej w Irlandyi. Walka parlamentarna po zmianie regulaminu ostygła znacznie, stąd i zainteresowanie opinii publicznej również osłabło, tem bardziej, że sprawy kolonij absorbują silnie uwagę. W Transwalu wojska angielskie poniosły znowu fatalną klęskę w starciu z boerami. Za miarę porażki służy fakt, że głównodowodzący generał Colley poległ na placu bitwy wraz z wszystkimi oficerami sztabowymi. Posiłki wysyłają się, dowództwo poruczono zwycięzcy Afganistanu, generałowi Roberts,—rozpocznie się reperacya silnie zadraśniętego honoru wojskowego W Brytanii. O pokoju więc, który już miał być zawartym, na teraz, zdaje się, nie może być mowy.

Układy między ambasadorami państw kongresowych a Portą otomańską o uregulowanie kwestyi greckiej toczą się w Konstantynopolu już od tygodnia, dotychczas jednak żadnych autentycznych wiadomości o ich przebiegu i widokach powodzenia niema.

S. S.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy społeczne. W czerwcu r. b. urządzoną zostanie w Warszawie wystawa dzieł sztuki z zastosowaniem do przemysłu i rękodzieł. Wystawa ta obejmować będzie następujące przedmioty: wyroby ceramiczne, szklanne, metalowe, wyroby z kości słoniowej, z drzewa i kamienia; prócz tego obejmie ona meble, tkaniny, koronki, skóry, jako też przedmioty sztuki drukarskiej i introligatorskiej.

Stowarzyszenia. Na dochód czytelni akademickiej w Krakowie odczytała Deotyma rzecz p. t. *Biesiada u Ziemomysła* (obraz dramatyczny z czasów przedchrześcijańskich).

— Na posiedzeniu wydziału historycznego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu d. 21 z m., prezes p. St. Koźmian oznajmił, iż zarząd postanowił w krótkim czasie wydać rocznik Towarzystwa. Następnie jeden z członków odczytał pracę p. t. *O jesiennej kampanii Augusta II w roku 1704.* Prelegent opierał się na źródłach cennych i mało znanych, jak np. na własnoręcznych raportach Schulenburga, na listach Augusta II, pisanych do namiestnika saskiego, na listach Patkula, Steinaua, na opisach Nordberga i t. d.

— W krakowskiej Akademii Umiejętności odbyło się w d. 21 z. m. posiedzenie wydziału matematyczno-przyrodniczego pod przewodnictwem d-ra Teichmana. Sekretarz, dr. Kuczyński przedstawił nadesłane prace: p. Juljana Schrama *O stanowisku talu w systematyce chemicznej i jego obecności w sylwinie i karnalicie kałuskim;* rozprawę dr. A. Rogalskiego: *Rola zieleni w asymilacyi.* W dalszym ciągu posiedzenia dr. Teichman przedstawił treść rozprawy prof. d-ra Brodowskiego: *Przyczynek do anatomii patologicznej wątroby.* Następnie prof. dr. Czyrniański przeczytał sprawozdanie o pracy pp. Wispeka i Zubera: *O działaniu allylu na benzol w obecności chlorku glinowego.* W końcu prof. dr. Adamkiewicz odczytał rozprawę: *Czynność mięśni jako skutek podwójnego pobudzania jednoczącego się w stosie pacierzowym.*

Literatura polska. W Przemyślu wyszło dziełko: *Chemia dla wyższych klas gimnazyalnych* przez Franciszka Tomaszewskiego.

— Na półkach księgarskich ukazała się ciekawa praca prof. Władysława Boberskiego z Tarnopola p. t. *Porosty galicyjskie.* Jest to odbitka z *Przyrodnika*, wychodzącego w Tarnowie.

— *Słownika geograficznego polskiego* zeszyt XV wyszedł z pod prasy i obejmuje w porządku alfabetycznym wyrazy od *Drozdów* do *Dybowo.*

— *Tygodnik Illustrowany* donosi, iż zawiązany komitet wydawnictwa pośmiertnych dzieł Jana Kochanowskiego na uczczenie 300 letniej jego rocznicy, przypadającej w roku 1884, zajmuje się skrzętnie wydaniem pism, pozostałych po śpiewaku czarnolaskim. Znaczna część rękopisów została już przejrzaną i przygotowaną do druku, który rozpocznie się w końcu bieżącego roku. Przewodnictwo w komitecie przyjął na siebie Konstanty hr. Przeździecki.

— Zeszyt *Biblioteki Warszawskiej* za miesiąc luty zawiera następujące prace: *Aleksander Tyszyński* przez F. K.; *Malarze polscy na wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych i w Salonie Ungra* przez Karola Matuszewskiego; *Odrodzenie i reformacya*, przez Wojciecha hr. Dzieduszyckiego (dokończenie); *Siostra miłosierdzia*, powieść Emila Castelara; *Przegląd teatralny*, przez K. W.; *Kronika Paryska; Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego.*

— Zeszyt *Ateneum* za miesiąc luty zawiera następujące prace: *Brandeburgia i Polska po traktacie Oliwskim*, przez K. Jarochowskiego; *Tragiczna szekspirowska historya o księciu duńskim Hamlecie*, przez Włodzimierza Spasowicza; *Przybłędy*, nowella Sewera; *Walka z centralizmem w Galicyi*, przez Ignotusa; *Asnyk i jego liryka*, przez Józefa Tretiaka; *Początki sejmu wielkiego*, przez Tadeusza Korzona; *Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie; Kronika miesięczna.*

Literatura niemiecka. Nakładem F. A Brockhausa w Lipsku wyszedł pierwszy tom oddawna przez prasę niemiecką zapowiadanego dzieła p. t. *Memoiren zur Zeitgeschichte.* Autorem jest Oskar Meding, znany jako romansopisarz pod pseudonimem Grzegorza Samorow. Pamiętniki te wyjdą w trzech częściach; pierwsza, która ukazała się już na półkach księgarskich, obejmuje przeciąg czasu od 1860 do 1866 r., druga opisuje płodny w wydarzenia różnego rodzaju rok 1866, trzeci wreszcie obejmie okres czasu od 1866 do 1870 r., to jest do wojny francusko-niemieckiej.

Literatura francuska. Blavier, *La question du rachat des chemins de fer par l' Etat.* Wydane w Angers nakładem Lachese et Delbeau.

— Cauvet Emile, *Traité des assurances maritimes.* W Paryżu u Larose'a.

— Chatain Mareel, *De la propriété litteraire.* Wydane w Paryżu nakładem Cotillona i S-ki.

— Esnault et Louis Planquette, *Traité des faillités et banqueroutes* Nowe wydanie, dopełnione. W Wersalu, księg. Cerf et fils.

— Franck Ad., *Reformateurs et publicistes de l'Europe (XVII-e siècle).* Wydane w Paryżu, księg. C. Levy.

— Leroy-Beaulieu, *Essai sur la repartition de richesse et sur la tendance à une moindre inegalité des conditions.* Wydane w Paryżu.

— Nicolas, *Le problème social.*

— Rosières, *Histoire de la société française au moyen âge.* Wydane w Paryżu u Laisney'a.

— Saye, I. B. *Catechisme d'economie politique.* Wydanie szóste, dopełnione.

— Pallain, urzędnik ministeryalny francuski przygotował do druku niezwykle ciekawą publikacyę: jest to zbiór listów, pisywanych przez Ludwika XVIII do Talleyranda przez czas trwania kongresu wiedeńskiego.

Literatura angielska. Georg Bancroft, znany historyk angielski, przygotował do druku dalszy ciąg swej *History of the United States.* Dzieło to wyjdzie nakładem D. Appletona w New-Yorku p. t. *History of the formation of the constitution of the United States.*

Literatura rosyjska. P. I. Piaseckij, *Podróż do Chin w latach 1875 przez Syberyę i Mongolię.* Wydane w 2 tom. w Petersburgu.

— Styczniowy zeszyt miesięcznika *Otieczestwiennyja Zapiski* pomieścił nową komedyę Ostrowskiego p. t. *Niewolnice.*

Dziennikarstwo polskie. W miejscach redaktora *Gazety lekarskiej* i *Umiejętności lekarskich* zatwierdzony został p. Władysław Gajkiewicz, lekarz.

— *Przegląd techniczny* podaje w ostatnim swym numerze projekt gmachu dla wydziałów hypotecznych Sądu Okręgowego w Warszawie, sporządzony przez budowniczego K. Loewego.

Dziennikarstwo zagraniczne. W Neapolu wychodzić zaczęło pod redakcyą d-ra Andrea Angiulli pismo poświęcone filozofii p. t. *Rassequa critica di opere scientifiche e letterarie.* Zadaniem pisma będzie zaznajamiać ogół włoski z najnowszemi badaniami uczonych, postępami filozofii i przejawami działalności literackiej tak we Włoszech, jak i zagranicą. Pismo to wychodzi zeszytami co dwa miesiące.

— Na korzyść dotkniętych wylewem rzek mieszkańców Kalabryi wyszło w Medyolanie, nakładem U. Hoepliego album zbiorowe p. t. *Ausonia. Albo d'arte e letteratura.* Publikacya ta, na którą złożyło się 135 malarzy i literatów włoskich, zawiera między innemi do stu rysunków oryginalnych.

— *Nouvelle Revue* w zeszycie styczniowym zamieściła artykuł Guy de Maupassant'a p. t. *Gustaw Flaubert w życiu domowem.*

— *Revue des deux mondes* pomieszcza dalszy ciąg ciekawej pracy p. Picot *O reformie sądowej*, a mianowicie *O wpływie demokracyi na magistraturę w Stanach Zjednoczonych i w Szwajcaryi.*

— W. St. John Brodrick zamieścił w Fortnighly Review ciekawy artykuł p. t. *The relations of the houses of parliament* (Stosunki między dwiema izbami parlamentu).

Konkurs. Do komisyi, mającej się zająć ustanowieniem warunków konkursu na wykonanie pomnika dla Mickiewicza, wybrano: dr. Asnyka, hr. Karola Lanckorońskiego, prof. Łepkowskiego, prof. Łuszczkiewicza, Pawła Popiela i prof. Maryana Sokołowskiego.

Malarstwo i rzeźba. Na wystawę warszawskiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych przybyły w upłynionym tygodniu następujące dzieła:

Czachórskiego Władysława *Portret damy;* Heymana Stanisława *Tamburystka;* Kossaka Juljusza *Kawalerzysta;* Kostrzewskiego Franciszka *Bal pastuszy;* Merwarta Pawła dwa obrazy: *Dumanie* i *Na wędkę;* Pane Nadziei *St. Pietro w Wenecyi;* Szymanowskiej Maryi *Św. Wiktorya;* Wastkowskiego Franciszka *Podwórze chłopskie;* Alberta Dürera *Św. Trójca;* Salzmana *Głowa Chrystusa.*

Teatr. Na scenie krakowskiej przedstawiono obraz ludowy p. t. *Kąkol*, oryginalnie napisany przez p. Franciszka Dominika.

— Wacław Brożek, jeden z najbardziej sławnych malarzy czeskich, wykończył nowy swój obraz przedstawiający *Slavnost' u Rubense* (Uczta u Rubensa). Krytyka wyraża się o płótnie tem nader pochlebnie.

— W teatrze krakowskim przedstawiono komedyę p. t. *Błędy młodości*, napisaną przez Sztellera.

— Towarzystwo dramatyczne prowincyonalne p. Puchniewskiego, bawiące obecnie w Kaliszu, wystawiło na miejscowej scenie operetkę *U zulusów.* Libretto oryginalne podłożono pod muzykę słynnej *Fatinitcy* Soupego.

— Na scenie lipskiej wystawiono sztukę A. Weimara p. t. *Magdalena.*

— W Wiedniu wystawiono komedyę p. t. *Ihre Familie*, napisaną przez pp. Stinde i Engels.

— W Wiedeńskim Carltheatrze przedstawiono po raz tysięczny wesołą krotochwilę p. t. *Lumpaci Vagabundus.*

— Vaudeville paryski wystawił komedyę w 3 aktach pp. Nus i Karola Delourey p. t. *Madame de Navaret.*

— Teatr Gymnase w Paryżu wystąpił z nową komedyą p. t. *La Noce d' Ambroise*, przez pp. Ernesta Blum i R. Toché.

— W Poznaniu przedstawiono komedyę tłomaczoną z francuskiego p. t. *Dyplomata.*

Sprostowanie. W nrze poprzednim str. 106, szp. 1, wiersz 7, zamiast *miejscowość*, czyt. *mniejszość.* Str. 97, szp. 1 w. 18, maiast za *socyalista* czyt. za *socyalizm.*

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 20 Февраля 1881 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.